Zakład Narodowy im. Ossolińskich

DZIAŁ RĘKOPISÓW

Rkps 15437

„JAROSŁAW SUCHORSKI JAREMA: MIGAWKI UKRAIŃSKIE”.

WSPOMNIENIA Z LAT 1913-1939.

Pol. 1964. Część 3

19/73/2

1

Jarosław Suchowski

(Jarema)

Migawki Ułańskie

cz. III

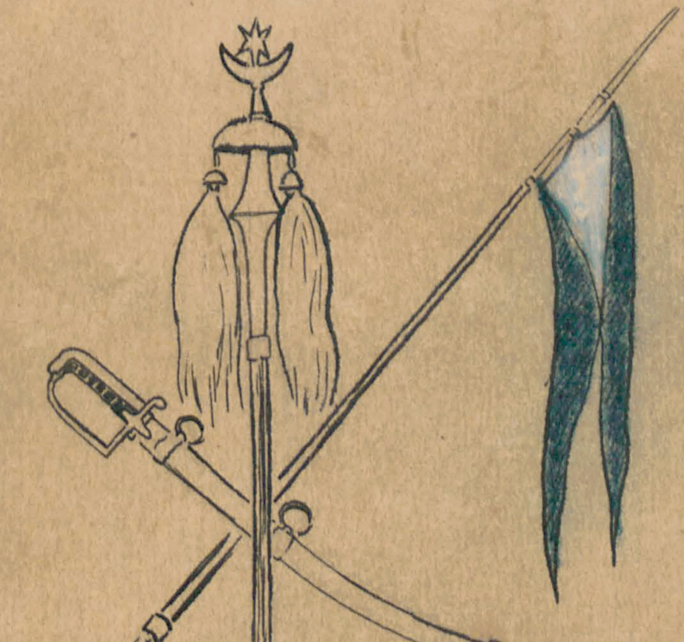

15437

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM

15437 I/2

19 Pułk Ułanów Wołyńskich

Pluton trębaczy i fragment szwadronu

rok 1938.

Oba Pułki - 19 ułanów i 2 p.s.k za działania bojowe w kampanii wrześniowej 1939 zostały odznaczone Orderem wojennym „Virtuti Militari" 5 kl.

sk. 253
3

„Hej dziewczyno, Ej niebogo!
Jakieś wojsko jedzie drogą...

„Ja myślałam, że to maki,
Że ogniste lecą ptaki...
A to ułani, ułani.....

Kornel Makuszyński.

Część III.

Wspomnienia z:

19 Pułku Ułanów Wołyńskich 1922-1930
2 Pułku Strzelców Konnych 1930-1935

Rysunki Jan Dąbrowski

4 str 9~~5~~6.

Słowo - Jednego z ostatnich Ułanów Polskich.

W kampanii 1918-1920 Wojsko Polskie chlubnie spełniło swój obowiązek wobec Narodu.

Oręż Polski i teraz okrył się chwałą - wojna zakończona zwycięstwem.

Historia działań wojennych tej kampanii stwierdza duży wkład bojowy Kawalerii Polskiej. (Jaskrawy przykład „Bitwy pod Komarowem w sierpniu 1920r. w której Grupa Kawalerii Polskiej ok. 12 pułków pod dowództwem Generała Juliusza Rómmla zdruzgotała słynną Konną Armię Budionnego ok. 25 pułków)

Ja, - który w szeregach Jazdy Polskiej jako żołnierz liniowy miałem zaszczyt przeżyć od początku kampanii t.j. od ostatnich miesięcy 1918 roku - do końca t.j. do zawieszenia broni 18.X.1920 roku i później przez długie lata - jestem świadkiem tego

wkładu i dziejów późniejszych.

Mam prawo i obowiązek stwierdzić to, co widziały moje oczy - mam prawo prawdzie dać świadectwo.

Dlaczego uważam złożenie mego stwierdzenia - jako obowiązek?
Przede wszystkim dlatego, że jest to prawda, poza tym dlatego, by zadać kłam fałszywej legendzie.

Niestety - dziś wielu ludzi, specjalnie ci, co „prochu" nigdy nie wąchali i dla Kraju nigdy nic nie zrobili, a wojnę widzieli w kinie, różnego rodzaju „pismaki", korespondenci, redaktorzy, sprawozdawcy i inne „ważne figury" (czytaj „mizeraczki) lubują się popisami swoich „mądrych głów" - szkalując kawalerię. Starają się, niewiem w jakim celu, - a może przez zazdrość - zmniejszyć rolę kawalerii, a ułanów, czy szwoleżerów - ośmieszyć.

Są to przeważnie nieodpowiedzialni za swoje czyny i słowa „głuptasy", ale pianie ich słyszy

młodzież i może w te paszkwile - uwierzyć!

Jestem „urodzonym" kawalerzystą, gdyż z urodzenia jestem Kubańskim Kozakiem - jako żołnierz kawalerii brałem udział w końcówce pierwszej wojny światowej, w kampanii 1918-1920 i kampanii 1939, jestem fanatykiem Jazdy Polskiej, - ale to nie znaczy, że błędnie oceniam przeobrażenia wojenne ostatnich lat.

Mam, pomimo „kawaleryjskiego fanatyzmu" - zrozumienie i poczucie rzeczywistości, dlatego rozumiem, że wobec rozwoju mechanizacji i techniki, w dobie broni jądrowej i zdobywania kosmosu, - kawaleria - jako broń - nie ma racji bytu.

Kawaleria Europy - jako rodzaj broni zakończyła swoją służbę w końcu pierwszej wojny światowej - r. 1916 - 1917.

Polska i Radziecka kawaleria - jako rodzaj broni w dużym stopniu decydujący zakończyły swoją rolę w Kampanii Polsko-Bolszewickiej w 1920 roku, z tym, że kawa-

leria polska zakończyła ją chlubnie - zamykając tysiąclecie swej służby dla swego Narodu, w imię Jego wolności i niepodległości, a sztandary swoje okryła nieśmiertelną sławą.

W kampanii tej Bolszewicy mieli dwa potężne liczbowo korpusy kawalerii: Budiennego i Gaja, oraz inne liczne jednostki kawalerii nie wchodzące w skład tych korpusów.

My mieliśmy mniej pułków kawalerii, ale ich wartość bojową nadrabiała ~~ilość~~ jakość.

Ówczesna kawaleria, jak nasza tak i bolszewicka były prototypem:- samolotów, czołgów samochodów, radia i innych broni nowoczesnych. Szybkość poruszania się - niejednokrotnie jedyna i szybkość łączności, głębokie rozpoznanie, demolowanie tyłów nieprzyjaciela, walka ogniowa, natarcie piesze i szarże konne - przypadały ówczesnej kawalerii.

Koń i jeździec - były bronią uniwersalną

Z moich wypowiedzi możnaby wnioskować, że w kawalerii służyli jacyś inni ludzie?

str. ~~260~~
8

Prawdopodobnie tacy sami jak i w każdym innym rodzaju broni, ale – niechaj dotknąć nikogo – historia wojenna i wojskowa stwierdza stwierdza, że kawalerię – nie tylko polską – zawsze cechowała bitność i wysoki czynnik moralny.

Widziałem pułki carskiej piechoty i inne rodzaje broni po pierwszej rewolucji marcowej 1917 roku – upodobniły się one do rozbestwionych hord niszczących siebie i to wszystko, co spotykano na drodze i to w swoim kraju – oprócz właściwego nieprzyjaciela na froncie.

Dyscyplina, – ten obowiązkowy czynnik każdego wojska – upadła – wymordowano swoich oficerów.

Natomiast – kawaleria carska przetrwała w zupełnie przyzwoitej formie, aż do Rewolucji Październikowej

W kampanii 1918-1920 w której Wojsko Polskie przeżywało latem 1920 roku okres bardzo poważny – ani jeden pułk, ani jeden szwadron Kawalerii Polskiej – nie załamał się.

Jako liniowy oficer kawalerii polskiej brałem udział w kampanii 1939, którą ze swoim dywizjonem (K.D - 35 D.P.) zakończyłem w Grupie Generała Kleeberga pod Kockiem w dniu 6.X.39.
Zdaję sobie zupełnie jasno sprawę, że już w tej kampanii kawaleria nie mogła spełnić decydującej roli, ale walczyła - niejednokrotnie rozpaczliwie, ale dobrze, a jej „morale" stały bardzo wysoko.

Fakt ten stwierdzali niejednokrotnie i poszczególni żołnierze Wermachtu i wyżsi dowódcy.

Kłamstwem i nieuczciwością - jest fałszywa legenda, jakoby ułani z szabelkami i z lubością dokonywali szarż (atak konny) na czołgi niemieckie — kłamstwo, wierutne kłamstwo!

Żaden dowódca jazdy polskiej, począwszy od kaprala - dowódcy sekcji - ani razu nie wydał planowego rozkazu szarżowania na czołgi - stosując go jako jeden ze sposobów walki.

O dzielności natomiast tej rozpaczliwej

kampanii – zmuszały nieraz do nieprzepisanych i niewiarygodnych form walki.

Okoliczność taka zmusiła niektóre pułki Pomorskiej Brygady Kawalerii – do czynu rozpaczy – do przebijania się z okrążenia.

Pułki te okryły się chwałą – nie poddały się, a Ich szarża przez czołgi niemieckie – była aktem rozpaczy i honoru.

Była to konieczność rycerska, a nie fantazja ułańska.

W kampanii tej było kilka szarż planowych, ale nie na czołgi – przykłady: Szarża 1go i 2go szwadronów 18 pułku Ułanów pod Krojantami (ob. Chojnice) w dniu 1.IX.1939. pod dowództwem płk. Mastalerza.

Szarża ta była też koniecznością – ale dzięki tej potężnej szarży pułk swoje zadanie wykonał, a Niemcy do rana dnia 2.IX.1939 nie ruszyli z miejsca.

Drugi przykład: Szarża plutonu ppor. Henryka Merkmana (pluton z mego szwadronu

na szwadron kawalerii niemieckiej w dniu 1.IX.1939 w rejonie Myszyniec. (Opis szarży w części ostatniej „Migawek.")

Poważny człowiek i uczciwy Polak napewno nie opowiada „cudów o szarżach na działa" – bo takowych nie było i nie podziela zdania nieodpowiedzialnych za swoje słowa „fircyków" – „ –

Kawalerzysta w życiu poza służbowym???

Ten krótki fragment umieszczam celowo zaraz po ocenie kawalerii jako rodzaju broni, a to dlatego, że ci sami panowie „fircyki" w swoich niewybrednych atakach na kawalerię – szkalują kawalerzystę, szczególnie oficerów kawalerii – jako członka społeczeństwa.

Wyraz „ułan" doprowadza tych panów do stanu, który w pojęciu lekarzy określa się jako „niepoczytalny", albo wprost wariat.

Szkalowanie ułanów – wypływa z zazdrości cywili.

Ułan, – mam na myśli i szwoleżerów i strzel-

ców konnych – był rzeczywiście trochę inny niż „cywil", inny nieraz niż oficerowie innych rodzajów broni.

Był przede wszystkim zawsze starannie ogolony i ostrzyżony, elegancki, uprzejmy, inteligentny, grzeczny – no i miał „fantazję ułańską".

Mundur – zresztą bardzo ładny nakazywał, że tak powiem – pewną odrębność.

Ułan – nie zadawał się z „każdym" – miał swoją rodzinę pułkową i wybrane towarzystwo cywilne.
Uczęszczał do najlepszych lokali, jeździł pierwszą lub drugą klasą – nigdy trzecią – słowem „trzymał fason". Znał swoją wartość.

Miał także to, co najbardziej kłóło w oczy – miał duże powodzenie u płci pięknej. Panna, czy pani wolały pokazać się na balu, w teatrze, w kinie, czy na koncercie z „dziarskim ułanem", niż niejednokrotnie źle ubranym cywilem.

„Fantazja ułańska" również miała swoje

podstawy - przyczyniły się do tego wieku - bo prawie przez 6-7 wieków - Jazda w Wojsku Polskim była głównym rodzajem broni, a fantazja w boju kawaleryjskim okryła Oręż Polski nieśmiertelną chwałą.

„Fantazja bojowa” przesiąkła w pewnym stopniu w życie codzienne ułana.

Stąd - narodziła się pewna odrębność kawalerzystów.

Nie można wykluczyć, że gdzieś, kiedyś właśnie ta „fantazja” poniosła kogoś za daleko - no i wytworzył się koło tego szum i wyolbrzymiona legenda (plotka)

Natomiast jeśli kilku „cywili” pod „gazem” naprzykład tarzają się w rynsztoku i w dodatku dostali parę pałek gumowych od policjanta - to incydent ten wywoływał trochę śmiechu, a nieraz i współczucia i przechodził w .... Zapomnienie.

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM

94 str. ~~266~~

Nieprzyjemne wypadki niewątpliwie były – bo ułani... to tylko ludzie, ale było tych wypadków mało i nie takie – jak w legendach.

Z całą świadomością odpowiedzialności stwierdzam; – że Polacy lubili swoich Ułanów.

– " –

Aby dać obraz prawdziwego oblicza Polskiej Kawalerii w kampanii 1939 przestudiowałem wiele źródeł – fragmenty z nich podaję na zakończenie „Mijanek"

Nigdzie nie znalazłem stwierdzenia „szarży z szabelkami na czołgi", ale dekoracje orderem Virtuti Militari sztandarów niektórych pułków kawalerii – jest faktem.

O dziejach Jazdy Polskiej w wojnach do 1939 roku – mówi historia.

Wspomnienia
z
19 Pułku Ułanów Wołyńskich.

odznaczony orderem Virtuti Militari 5 kl. (1939).

Melodia wojenna zaczyna zanikać zupełnie.

Po zawarciu pokoju ze Związkiem Radzieckim w kwietniu 1921 roku, nawet „linia demarkacyjna" zaczyna przekształcać się - na stałą granicę.

Nasz 19 Pułk Ułanów pełni jeszcze służbę w rejonie Głębokie na Wileńszczyźnie, a nasz detaszowany szwadron w Krzemieńcu na Wołyniu.

Na początku roku 1922 ukończona została praca komisji polsko-radzieckiej nad wytyczeniem stałej granicy, - linia demarkacyjna znikła.

Służbę na granicy Radzieckiej objęmują specjalne oddziały policji - Wojsko skończyło swoją służbę, może odejść do Kraju i rozpocząć

życie pokojowe.

Rozkaz zakończenia służby granicznej i odmarszu do stałego miejsca postoju - nadszedł wiosną 1922 roku.

Na stały postój pułku wyznaczony został dawny kresowy gród - Ostróg nad Horyniem. na Wołyniu.

Widocznie Jaworczycy nawet podczas pokoju muszą mieć posmak wojenki - z linii demarkacyjnej bowiem przenosza nas znów na samą granicę.

W tym czasie Ostróg n. Horyniem leżał na samej - dosłownie na samej granicy Radzieckiej. Z okien koszar i z każdego punktu terenu koszarowego widać było gołym okiem granicę - w linii prostej przebiegała ona w odległości najdalej 500-600 m. od koszar pułku.

A samo miasto? Śmiało można powiedzieć „dziura", leżąca od stacji kolejowej Ożenin (linia kol. Zdołbunów - Szepietówka) w odległości 12 km. okropnej drogi - nieznana

około 15000.

Koszary położone nawet bardzo ładnie na przedmieściu Kidry - przed 1914 rokiem kwaterował tu pułk kawalerii rosyjskiej.

Pozatym: Gimnazjum koedukacyjne, słynne w Kraju ze względu na wysoki poziom nauczania, - starostwo powiatowe, kino, restauracja, dwa hoteliki, mała kawiarenka, apteka, trochę sklepów, dwa kościoły, dwie cerkwie prawosławne, oraz słynna ulica Tatarska na której mieszkali Polacy - potomkowie Tatarów.

Przy starostwie powiatowym uczynnie dobrze wyposażona biblioteka.

To wszystko - na użytek codzienny.

Ludność: Polacy, Żydzi i Rosjanie.

Natomiast jest to miasto posiadające wiele zabytków historycznych.

Założone w 1386 roku przez książąt Ostrogskich. Z pierwotnych budowli, za mych czasów

18 str 270

jeszcze istniały: ruiny zamku książąt Ostrogskich, ruiny murów okalających miasto z roku 1430, oraz Muzeum ks. Ostrogskich - poza tym dużo kurhanów i mogił.

Okolica bogata, dworów mało, dużo ładne wsie - chłopi rolnicy dość zamożni - narodowości przeważnie ukraińskiej.

„Dziura - bo dziura" - ale zawsze miasto, lepsze niż dotychczasowe Głębokie.

Późną wiosną 1922 r. pułk przybył do Ostroga - stacjonował tam do września 1939 roku.

Życie poza służbowe oficerów i podoficerów pułku koncentrowało się właściwie w pułku - w domach prywatnych i w kasynach - oficerskim i podoficerskim.
Z czasem nawiązano stosunki towarzyskie z osobami prywatnymi w mieście i z dworami w okolicy

Sztandar pułkowy
19go Pułku Ułanów Wołyńskich
Manewry na Wołyniu 1924 r.

19 Pułk Ułanów Wołyńskich rok 1936

Ostróg n Horyniem

Takie małe garnizony mają to do siebie, że korpus oficerski żywa się bardzo z sobą - stąd i stosunki bardziej serdeczne i bardziej koleżeńskie i oficerów i ich rodzin, a także dodatni klimat dla kawalerów - sprzyja do zakładania rodziny.

W czasie mego stałego kontaktu z pułkiem do 1930 roku - stosunki służbowe i w życiu towarzyskim były więcej niż doskonałe.

Piszę kontaktu - gdyż od 1923 do 1927 roku studiowałem na koszt pułku w Wilnie na uniwersytecie Stefana Batorego (rolnictwo), ale wakacje spędzałem w pułku - gdyż był to - „Mój Dom".

Cóż więcej o Ostrogu można powiedzieć?

O ile się nie jest poetą - to chyba nic!

Może tylko jeszcze to, że w Ostrogu w tym czasie były dwie piękne panny - Łukiczanki, córki niewielkiego ziemianina - pana Łukicza. Miły dom państwa Łukiczów był zawsze szeroko i serdecznie otwarty dla pułku.

Z jedną z panien Łukiczanek ożenił się

oficer naszego pułku - ówczesny porucznik Misza Kłopotowski.

W chwili przybycia pułku do Ostroga - pułkiem dowodził płk. Cieński - oficer kawalerii austriackiej - Jaworski bowiem odszedł do Akademii Sztabu Generalnego.

Pułkownik Cieński dowodził pułkiem bardzo krótko - chyba rok.
Było to nie dowodzenie, a... nieporozumienie. Jako oficer austriackiej kawalerii, do naszego pułku - nie pasował.

Pułk nasz miał bowiem swój specyficzny „oblik" i duże tradycje z pola walki - jednym słowem - „Jawor(czycy)" - tu nie każdy może się zaaklimatyzować.

Pułkownik Cieński prawie z „płaczem" odszedł z pułku, a my, ? - z uśmiechem wspominaliśmy „austrijca".*

Pułk po Cieńskim objął płk. dypl. Zbigniew Brochwicz - Lewiński - ten sam „papasza" zagubiony w śniegu w 1919 roku.

* austrijca = austriacka

Jako dawny „Jaworzyk" z Legii Oficerskiej - został przyjęty - jako „swój."

Na stanowisko zastępcy dcy pułku został mianowany drugi „swój" Jaworzyk" - ppłk. Tomasz Dobrzański - dawny z Tomaszowa - „mój - ułan Tomasz Dobrzański."

Teraz dysonansów w pułku nie było, no boć jakżeż? - dowódca i zastępca, nasi - „Jaworzycy".

Tym właśnie dwóm „moim" pułkownikom poświęcę kilka kartek wspomnień.

Średniego wzrostu, z inklinacją do „wyhodowania brzuszka", o miłej dobrodusznej twarzy, - zewnętrznie raczej sztabowiec niż dziarski dowódca pułku ułanów - wspaniały człowiek, pułkownik dypl. Zbigniew Brochwicz Lewiński, - dca 19 p. uł. późniejszy Szef Departamentu Kawalerii M.S.W. i Prezes Polskiego Związku Jeździeckiego - dawny z roku 1919 go. zagubiony w śniegu „papasza".

Moje kartki o Nim - nie mają charakteru jakiejkolwiek krytyki - do tego nie czuję się powołanym-

wychwytuję tylko z pamięci ciekawsze życiowe fragmenty.

Obowiązany tylko jestem stwierdzić: - przez te kilka lat w których dowodził pułkiem - dobrze się w pułku działo.

Jak każdy człowiek, miał swoje „dziwactwa” i takie czy inne „mankamenty”.

Był to przede wszystkim - maruda

Na adjutanta wybrał sobie Wacka Bielańskiego, tego właśnie (kochanego maryjmonts), który mi w Tomaszowie zaaplikował „kukułkę”.

Z tej „pary” można było niemal - boki zrywać ze śmiechu.

A zatem tak:

pułkownik zawsze i wszędzie się spóźniał.

Wybiera się do Warszawy do M.S.W. na ściśle nakazany dzień i godzinę. Zawsze jechał dzień wcześniej, by spokojnie przespać noc - tak tylko planował.

Założenie słuszne, ale prawie nigdy nie było realizowane, gdyż pułkownik spóźniał się na właściwy pociąg i później tłukł się przez

Do strony ~~273~~. 25

Pułkownik dyplomowany Zbigniew Brochwicz-Lewiński, dca 19 p.uł. Wołyńsk. (1924-1927) Szef Departamentu Kawalerii M.S.Wojsk. (1922-1930) Prezes Polskiego Związku Jeździeckiego – „Zagubiony w śniegu Papasza" z roku 1919 (wspomnienia cz. I i II.)

Pułkownik Tomasz Dobrzański -
zca dcy 19 pułku ułanów wołyńskich.
Popularny „pułkownik Foma" -
mój „ułan Tomasz Dobrzański" z
Tomaszowa w r. 1920.
Zdjęcie z roku 1927.

Stoi - ppor. Kobyłański - Grarin -
oficer kontraktowy.

całą noc i do Warszawy przyjeżdżał albo z opóźnieniem, albo na czas, ale zły i śmiertelnie zmęczony.

Wyjazd odbywał się tak:

– Wacek! (pułkownik zwracał się do swego adjutanta po imieniu) – pamiętaj, że my jutro jedziemy do Warszawy!

– Pamiętam panie Pułkowniku doskonale i melduję posłusznie, że z powodu niepogody i złej drogi – musimy wyjechać o 20 minut wcześniej niż zwykle, t.j. o 9^{40}.

Jedyny dogodny pociąg ze stacji Ożenin odchodził o 11^{50}, a do stacji 12 km. bardzo złej drogi, którą trzeba przebyć końmi.
W tym czasie bowiem w porze niepogody po drodze Ostróg – Ożenin nie mógł przyjechać żaden samochód, którego zresztą w pułku nie było.

Rano, w dniu wyjazdu Wacek już kilka minut po 8ej dzwoni do pułkownika do domu-

28

str. ~~276~~

(mieszkał na terenie koszar w bloku oficerskim)

— Panie pułkowniku – dzieńdobry! melduje się adjutant, chciałem przypomnieć, że dziś o 9^40 jedziemy ... bardzo zła droga!

Pułkownik zapewnia, że już wstaje – Wacek uśmiecha się.

— A czy pan Pułkownik przyjdzie do kancelarii, czy może lepiej ja podjadę pod blok!

Jeszcze kilka słów i Wacek kładzie słuchawkę i śmieje się

— Stary... ma przyjść tutaj, zatem dziś... ... nie pojedziemy.

Pięć przed 9^40 podjechał pod gmach dowództwa pułku powóz zaprzężony w parę dobrych koni, ... pora jechać, a ..... pułkownika niema.

Wacek klnie, denerwuje się, telefonuje....

Pani Zosia (żona pułkownika) odpowiada, że pułkownik już wyszedł. Od bloku oficerskiego do gmachu dwa pułku około 300 m

już musi być..... ale, niema.
Wacek posyła pisarzy i gońców:-
- Szukajcie pana pułkownika - znaleźć szybko, za wszelką cenę!
Już prawie o 10ej przybiega zdyszany goniec...
- Panie Poruczniku! - melduje posłusznie... jest pan pułkownik!
- Gdzie jest?.. do cholery!- gadaj prędko!
- W parku.... koło bloku... panie poruczniku!
- Co robi.....?
- Obcina róże.... panie poruczniku!
- Do jasnej cholery!... ryczy Wacek, łapie przygotowane swoje rzeczy, wybiega z kancelarii, wskakuje do powozu....
- Ruszaj szybko pod blok!!
Pułkownika zastaje jeszcze u ogrodnika...
- Panie Pułkowniku!... spóźnimy się!!!
Pułkownik jeszcze w pantoflach...
- Mówisz...., że.... spóźnimy się? patrzy na zegarek.

– Trochę późno, ... ale niech zadzwonią do zawiadowcy stacji ... by tych 5 minut zaczekał... (tak bywało nieraz).

Wacek grzecznie bierze pułkownika pod ramię i prawie ciągnie go do bloku. Pułkownik oddaje Wackowi piękny bukiet róż i idzie do domu włożyć buty i zabrać rzeczy.

Wacek zły.. i komiczny z bukietem w ręku kręci się koło powozu.

– Wacek! - ale tobie „do twarzy" z tym bukietem! - wyglądasz jakbyś jechał w oświadczyny, albo jakby ~~tobie~~ cię brzuch bolał! żartują przechodzący koledzy.

– Zmywajcie! zmywajcie do cholery łobuzy! - odgryza się Wacek.

Wreszcie wychodzi pułkownik.

– Już chyba nie warto jechać na ten pociąg... panie pułkowniku!

– E.e.e. nie! zerka na zegarek, - jak dobrze pojedziemy to.... zdążymy..

Święto pułkowe 19go Pułku Ułanów
Wołyńskich Ostróg n. Horyniem 1928 r.
pierwszy z lewej rotm. Lenkiewicz - Ipohorski
stoi por. Władysław Kozłowski
Drugi z prawej - por. Stanisław Rostkowski
trzeci, czwarty wachm. Rycaj i wachm. Kopera.

Płk. Tomasz Dobrzański.
(ułan I. Ł.D. z Tomaszowa 19 p.uł.)

Od lewej: por. Michał Kłopotowski, por. Jerzy Wiśniewski, rtm. Czaplinski, por. Teliko Ugrechelidze 19 p. uł.

Furman pilnie uważa, by ruszyć jak tylko pułkownik usiądzie, - wie co go czeka.
Pułkownik nie spiesząc się, siada do powozu - furman chce ruszać i ....
- Poczekaj, poczekaj, czy ja z Zosią się pożegnałem? - chwila namysłu ....
- Tak, ruszaj!
Powóz wytoczył się za bramę.
Ci sami koledzy, których przed chwilą Wacek nazwał „łobuzami" - śmieją się .....
- Wy myślicie, że zdążą? - napewno wrócą zaraz - bo nie bez tego, że pułkownik coś zapomniał.
Owi „łobuzy" stali na pogaduszce koło bramy jeszcze kilka minut.
- Patrz!... nie mówiłem? - wracają!
Okazało się, że pułkownik zapomniał zabrać ze swojej kancelarii niezbędne akta, bez których pokazać się w Ministerstwie... nie mógł.
Pojechali.... ale wieczorem, niewygodnym pociągiem - tłukli się całą noc.

34 str. ~~280~~

Albo taki obrazek:

sekretarz ówczesnego Polskiego Związku Jeździeckiego major Leon Kon opowiadał taką historię - w roku 1936 czy 37 jechał z pułkownikiem, który był już wówczas prezesem P.Z.J. - na zjazd Międzynarodowego Związku Jeździeckiego do Brukseli.

Jechali w wagonie sypialnym.

W godzinach rannych około 8 czy 9-ej pociąg zatrzymał się w Liège. Do Brukseli wprawdzie jeszcze dwie godziny jazdy, ale znając pułkownika, major Kon już go zbudził.

- Panie Pułkowniku, już jesteśmy w Liège... warto by wstawać!

- Co...? dopiero Liège... no... to można jeszcze... pospać!

- Budziłem teraz pułkownika co 15 minut, - mówi mjr Kon, - efekt taki: - pułkownik co prawda wstał przed Brukselą, ale... nie zdążył się ubrać.

Musieli jechać do Antwerpii – dopiero tu pułkownik był gotów do opuszczenia pociągu, a major Kon najbardziej był zły, gdy pociąg ruszał z Brukseli.

– " –

Albo taki fragmencik.

– Słuchaj Stasiek! – mówi do mnie Wacek – dziś na 20ą idę jak zwykle do pułkownika do domu, mamy terminowe sprawy do załatwienia, a zatem.... wiesz kiedy mogę wrócić?

– Właśnie tak: – jeżeli o 22ej nie wrócę do domu – przyjdź i zamelduj, że coś u mnie w domu stało się.... coś wykombinuj!

– Idź Waciuniu! – ja cię wyręczę!

Zasiedziałem się gdzieś w mieście, – wróciłem do domu około 23ej. Lecę do Wacka do domu.

– Jest Wacek?

Brat Wacka, Michał, popatrzył na mnie z ironicznym uśmiechem...

– Ty co? o drogę pytasz?... Przecież Wacek poszedł z aktami.... do pułkownika!!!

Lecz do bloku, - drzwi wejściowe do mieszkania pułkownika otwarte. Przechodzę przez hol, kieruję się do gabinetu (rozkład mieszkania znałem doskonale), pukam.... cisza. Ostrożnie naciskam klamkę, otwieram drzwi....

Gabinet silnie oświetlony. Oczom moim przedstawia się taki obrazek:
na biurku rozłożone akta, pułkownik na siedząco, w wygodnym fotelu stojącym koło biurka.... słodko śpi, aż podchrapuje... a Wacek???

Wacunio... poprostu położył się na kanapie i w rozkosznej pozycji „szczęśliwego bawołka" - wtórzył pułkownikowi.

Co teraz robić? Delikatnie budzę Wacka, ale to.... „syzyfowa praca". Wacunio kopnie mnie nogami, coś bełkocze, przewraca się na drugi bok i.... chrapie dalej.

Stoję bezradny, i kto wie jak by to długo trwało, gdyby nie wybawiła mnie

pani Zofia, - żona pułkownika, która uśmiechnięta weszła do gabinetu.

– Musimy ich, panie Stasiku koniecznie obudzić,... przecież jeszcze obaj nie jedli kolacji.
Po dużym wspólnym wysiłku wreszcie obudziliśmy obu.

Pułkownik przetarł oczy, trochę zdziwiony popatrzył na żonę i na mnie, a... później na zegarek:-
- O.o...o.. to już grubo po 23ej... no to... chodźmy na kolację.

— " —

Największą „pociechę" robił nam pułkownik swoją jazdą konną.
Pułkiem, a nawet Brygadą dowodził doskonale, uchodził za „silnego" taktycznie dowódcę kawalerii, ale... konno jeździł fatalnie. Poprostu, z błahej przyczyny spadał z konia.

str. 287

Najbardziej było to „fatalne", gdy spadał podczas uroczystości 3 Maja, na oczach publiczności.

Pułkownik miał pięknego wierzchowca wysokiej pół-krwi. Koń ten był doskonale ujeżdżony przez komendanta stajni dowódcy pułku - plutonowego Szymańskiego, ale wówczas gdy na nim siedział jego ujeżdżacz, albo ktoś, kto mocno siedział w siodle i umiał w porę zastosować potrzebne pomoce.

Już na dwa tygodnie przed 3 Maja, plutonowy Szymański dawał „Pająkowi" - tak się nazywał ten koń, - „bobu", to znaczy stosował mu większą dawkę pracy pod siodłem.

Podczas ćwiczeń przygotowawczych pułku do defilady 3 Maja, - Szymański na „Pająku" celowo kręcił się koło ćwi-

czącego pułku, udawał pułkownika i przyjmował od ppłk. Dobrzańskiego raport, ściągał się o grających trębaczy (orkiestra konna) - robił wszystko, by na 102 uspokoić go i przyzwyczaić do wszystkiego.

— No i jak Szymański? - będzie „Pająk" spokojny? pytał ppłk. Dobrzański.

— Pan pułkownik widzi! - chodzi jak dziecko, a co może być podczas defilady? - Szymański wzruszał ramionami.

— Jeszcze raz nadjeżdżaj, a ja będę zdawał ci raport! - Adjutant, - marsz pułkowy!

Szymański z ważną miną podjeżdżał przed front stojącego w szyku rozwiniętym pułku, trębacze „na całego" grali marsza pułkowego, a ppłk. Dobrzański podjeżdżał w galopie do Szymańskiego - zatrzymywał swego konia, salutował szablą i zdawał raport.

Repetycja udawała się świetnie - „Pająk" potulny jak baranek pięknie wszystko wykonywał.

Po tej generalnej repetycji pptk. Dobrzański zawołał do siebie Wacka i Szymańskiego:

– Adjutant i Szymański - odpowiadacie za „Pająka". Jeżeli jutro podczas parady coś się stanie ... łby wam pourywam! - zrozumiano?

– Zrozumiano panie pułkowniku! i... melduję posłusznie, że już teraz mogę siebie i Szymańskiego uważać za ... krótszych o głowę!

– To cóż do cholery!... przecież d... pułkownika do siodła nie przykleję! - zirytował się pptk. Dobrzański.

- Parada o 10ej, - zacznesz Szymański rozprzęgać „Pająka" o 6ej.

Wacek bał się następnego dnia, oczywiście

nie chodziło mu o swój „łeb", ale nie chciał dopuścić do ponownej „poruty" – postanowił namówić pułkownika by zgodził się wziąć na jutro innego konia. Były to tylko pobożne życzenia. Pułkownik był nie tylko „gwizdralski", ale i uparty.

W roku tym (1924) pogoda w dniu 3 Maja dopisała nadzwyczajnie. Piękny, słoneczny, bezwietrzny dzień sprzyjał uroczystości.

Od godziny 9ej, plac „parady" na Kidrach zapełniony już był publicznością
Pułk „wyfitowany" jak cacko pod dowództwem ppłkownika Tomasza Dobrzańskiego maszeruje na plac parady.
„Marusia" – służbowa gniada klacz pułkownika idzie jak baletnica (o niej też będzie mowa).

Pułkownik Dobrzański podkręcając wąsa (nosił wąsy a la Wiluś) klepie „Marusię" po szyi: -
- Ho, o Hoo. Marusia, nie szali, nie szali!×

× nie szali = nie dokazuj.

Hucznymi oklaskami i - „niech żyją Jaworzycy" powitała publiczność swoich ułanów.

Pułk stanął w szyku rozwiniętym.

Teraz.... straszna chwila" - bo zaraz nadjedzie na swoim „Pająku" - dowódca pułku.

„Machałka" - podnosi rękę - sygnał, że nadjeżdża dowódca pułku.

Pułkownik Dobrzański „naduszа" Marusię i wyskakuje przed front pułku.

- Pułk baczność! szable lance w dłoń! Prezentuj broń! na prawo-patrz!

Pod melodię marsza pułkowego, ppłk. Dobrzański, skróconym galopem jedzie na spotkanie dowódcy pułku.

Zamarły nam serca... bo oto ukazał się dowódca pułku, ale cholerny „Pająk" idzie pochrapując, strzyże uszami, a dowódca pułku siedzi na nim - jak „kot na płocie".

Zbliża się krytyczny moment:-
ppłk. Dobrzański podgalopował na kilka metrów przed „Pająka" - dziarsko osadził „Marusię" - wykonał „salut" obnażoną szablą i rozpoczął meldunek:-

– Panie Pułkowniku!...... urwał,... zamilkła raptownie kapela trębaczy.... stało się to.... czego się wszyscy tak bali.

W momencie „salutu" i pierwszych słów meldunku ppłka Dobrzańskiego – ten drań „Pająk" rzucił się w bok..., a... dowódca pułku ..... i rzucił się... na ziemię (spadł i to paskudnie)

– Ffu..., j... t... m... ubzył sobie pod nosem ppłk. Dobrzański.

Dowódca pułku już nie wsiadł na konia. Przezornie przygotowany przez adjutanta powóz zawiózł go do domu.
Leżał w łóżku około trzech tygodni. Uroczystości 3 Maja odbyła się bez dowódcy pułku.

str ~~290~~

Były to fragmenty od „strony komornej" – ale jeszcze raz podkreślam, że płk. Brochowicz-Lewiński był dobrym i mądrym człowiekiem.

– „ –

Kilka słów – migawek – o ułanie Tomaszu Dobrzańskim.

Teraz to już podpułkownik Tomasz Dobrzański – zastępca d-cy 19go Pułku Ułanów

Imię – Tomasz – ponoszę „Foma".

Kiedyś pułkownik, po którymś tam kieliszku powiedział: – „Foma Dobrzansky – pałkownik ułansky" – od tej pory, między sobą nazywaliśmy go – „Foma" – pod tym „pseudonimem" znała go cała Kawaleria Polska"

Ppłk. Foma – typ zupełnie kontrastowy do płk. Brochowicza.

Służbista, postawny, wysoki, energiczny, punktualny i wymagający w służbie, doskonały oficer liniowy, świetny jeździec, wspa-

nigdy „rybaka", (doskonale władał z konia szablą i lancą) doskonale wykonywał woltyżerkę i dżygitówkę.

Wspaniały „bajarz", anegdociarz - znał ich niezliczoną ilość i doskonale opowiadał - mógł bawić nimi - godzinami.

Lubił „zalać robaka", ale nigdy nie tracił „formy", wreszcie świetny tancerz i doskonały kompan. Lubił wojsko, lubił kolegów, specjalnie młodszych - sam był „wiecznie młody". Był przez wszystkich lubiany i szanowany.

A zatem kilka migawek o pułkownikach Ziemi

Lezginka

U nas w pułku służył w charakterze oficera kontraktowego Gruzin - porucznik Tatiana Ugrechelidze. Poza tym, że był on doskonałym oficerem kawalerii - jako góral Kaukazki - doskonale tańczył „lezginkę" - narodowy taniec gruziński.

Nosił zawsze kaukazkie buty „czuwiaki" i pas kaukazki. Kapela trębaczy pułkowych

musiała się nauczyć melodii „lezginki,”– a zatem komplet: i muzyka i tancerz i sympatycy tego tańca (i Taliko)

W tańcu tym był jeden niebezpieczny fragment figurowy: – stojący kołem widzowie w takt muzyki klaskali w dłonie i rzucali pomiędzy stopy tańczącego kinżał, to tak, by utkwił on ostrzem końcówki w ziemi lub w podłodze (oryginał tańca).

Niebezpieczna zabawa – można było bowiem trafić tańczącego w stopę, – góralom kaukaskim takie wypadki nie zdarzały się nigdy. Było i u nas kilku oficerów, w tej liczbie i ppłk. Foma, którzy rzucali „kinżał” bez pudła.

Podczas jednej z zabaw w kasynie oficerskim, na którą jeden tylko Taliko przychodził nie w szaserach^x, a w spodniach do butów i w swoich „ozwiakach”!

Po kolacji i kilkunastu różnych tańcach, jak zwykle – panie zaczęły wołać: –

– a teraz Taliko – „lezginka”!!

x szasery = długie granatowe spodnie z lampasami.

Wszyscy ustawili się kołem, a Taliko swoimi „kocimi" ruchami wchodził do środka.

Kapelmistrz - starszy wachmistrz Grot podnosił „pałeczkę" i ... rozpoczynała się „uczta kaukaskich gór."

Taliko tańczył doskonale ... wszyscy oczekiwali na figurę z rzucaniem kindżału!

Pierwsze kilka rzutów były doskonałe - kindżał wbijał się pomiędzy stopami tańczącego w posadzkę.

Jeden z rzutów był nieudany i „kindżał" złamał się. Taliko był w „ekstazie" i tańczył dalej - ale bez rzucania „kindżału" taniec tracił urok.

Sytuację ratuje płk. „Soma".

Wyciąga z kieszeni swój mały 6,35 klb. pistolet i wali pomiędzy stopy Talika (pistolet w zastępstwie kindżału).

Na skutek hałasu wywołanego strzałami, panie zatykają uszy, ale taniec nabiera specjalnego uroku.

Po jednym ze strzałów, widzimy, że na posadce zjawiły się plamy czerwone... plamy krwi ...

Taliko tańca nie przerywa, a plamy coraz cięższe.
Zaczynamy się orjętować, że krwawi Taliko,... że pułkownik trafił go w stopę.
– Panie Pułkowniku! można przerwać taniec, bo..... Taliko.... dostał w nogę! – szepcze ktoś pułkownikowi na ucho
– Co o o! dostał w nogę? No to niech Grot przestanie grać!
– Taliko! – podnieś nogę!... sczerzysiek, że dostał w stopę!....
Pułkownik pomrugał oczami, zrobił zdziwioną minę i... powiedział: –
– No, a czegoż ty... nogę podstawiasz?

— " —

Taliko sam poszedł do Izby Chorych. Lekarz pułkowy major dr Szumski w kasynie nie był, dlatego gdy zobaczył rannego zapytał:
– A ktoż cię tak wyregulował?
– chciałem się zastrzelić panie doktorze, – ale.... trafiłem w nogę.

Taliko musiał nosić gips na nodze około czterech tygodni, ale z powodu rany (przestrzelona noga-stopa) nie było ani gniewu, ani żalu. ... „po co nogę podstawił?

— " —

Zdarza się i „Mistrzowi."

Pułkownik „Toma" jak wspominałem, był doskonałym jeźdźcem, a specjalnie doskonale - po mistrzowsku władał szablą-z konia. Nie widziałem nigdy, by zrobił „pudło."

Ponieważ dziś już nie można nigdzie zobaczyć władania białą bronią, (szablą i lancą) dlatego pokrótce opiszę jak to wyglada

Ćwiczenia we władaniu białą bronią stanowiły przygotowanie kawalerzysty do władania tą bronią na polu walki w szarży konnej masowej, lub w walce jeźdźców pojedyńczych.

Odbywały się one tak:

na placu ćwiczeń ustawiano na linii prostej pozorniki (stojaki) na pewnej odległości jeden od drugiego - do władania szablą ustawiano

stojaki do których wtykano „łozę", oraz kładziono „manekiny" na ziemi, a także stojaki z gliną, która imitowała głowę nieprzyjaciela; do władania lancą pozorniki były odmienne - wiszące kółka, manekiny na ziemi i inne.

Szabla służyła do rąbania, lanca do kłucia nieprzyjaciela.

Na pozorniki - jeździec najeżdżał w galopie.

Pułkownik „Forma" lubił ćwiczenia, a specjalnie ćwiczenia władania b. bronią, dlatego bardzo często na te godziny przychodził do szwadronów.

Nie zawsze wytrzymywał, a... wówczas:-

- Ja wam pokażę jak trzeba rąbać!

Posłano do stajni po jego konia - „Maruna".

Za chwilę zjawił się luzak z koniem

Wiadomo było, że dla pułkownika należy ustawić dużo pozorników w najbardziej trudną kombinację. Pułkownik lekko wz-

przyjął „Marusię”, - poczem najeżdżał na pozorniki.

Każdy najazd był „arcy-mistrzowski.” Po kilku pokazowych najazdach, albo odsyłał „Marusię” do stajni, albo zadowolony - jechał do innego szwadronu.

Ale kiedyś?!!!!!

Był wówczas komendantem Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu - t.j. w „kuźni” młodych oficerów kawalerii.... i tu właśnie.... zdarzył się fatalny wypadek.

Znając „konika” komendanta Szkoły, instruktorzy „wyciskali” podchorążych na „małych mistrzów” we władaniu białą bronią.

I do nich, tak jak w pułku do szwadronów przychodził pułkownik bardzo często.

Nieraz nawet chwalił, ale zawsze musiało być:-

- A ja wam pokażę jak trzeba rąbać!

Tak samo jak i u nas - przyprowadzano „Marusię” - pułkownik siadał i.... nie rąbał, a „pisał”

Tak było i tego dnia, z tym, że popisowi przypatrywała się cała szkoła.

Po cięciu trzeciej, czy czwartej łozy, „Marusia" jakoś dziwnie skoczyła i poczęła usilnie machać we wszystkie strony głową.

Co się stało?...

„Marusia"... ma obrąbane uszy!!!!
Lewe ucho - ścięty czubek, - połowa ucha prawego... leży na ziemi.

Pułkownik zsiadł z konia.

- Ot... nie „rąbaka"! wypalił głośno, a później:-

- Chciałem wam pokazać... jak rąbać... nie należy!!!

- „Marusię" do ambulansu, i poszedł za koniem.

Z lekarzem weterynarii długo konferował, - chciał koniecznie, by... „Marusia" miała... normalne uszy.

Lekarz weterynarii oczyścił takie „uszka"

robić nie umiał:

– Ja, panie pułkowniku tego zrobić nie mogę!

– No... to z Ciebie lekarz... jak z koziej d... trąba, ja tu Kolbego sprowadzę... on zrobi!

– Wątpię panie pułkowniku, – ale chętnie usłyszę zdanie kolegi Kolbego.

– . –

Major-lekarz weter. Kolbe był lekarzem weter. 19 pułku Ułanów, ... a kto, czyco – z 19 p.uł. .... to najlepsze na świecie.

Telegraficznie zaproszony major dr Kolbe przyjechał na drugi dzień.

Idę z pułkownikiem do ambulansu wet. Dr Kolbe długo oglądał zszytą „Marusię", kręcił głową, macał uszy kobyłki, przyminał obcięte kawałki... wreszcie ze smutną miną orzekł: –

– Nic... panie pułkowniku... i ja tego nie zrobię

– To w takim razie... ja wsadzę tobie w tyłek

parasol.... i zrobię z Ciebie... „balon”.

Tego wieczora pułkownik, dr. Kolbe długo opłakiwali w „Wielkopolance”... oczy „Marusi”.

— „ —

Padnij!... bo strzelam.

Skoro już wspomniałem majora dra Kolbe, muszę mu poświęcić kilka wierszy.

Któż to był.. ten dr. Kolbe?

Przemiły, dobry sympatyczny pan... doktór medycyny weterynaryjnej w stopniu majora.

Przez dłuższy czas był lekarzem wet. 19 p. ułanów. Odrzucał korzystne propozycje wyższych stanowisk, byle pozostać w pułku.

Lubił kawalerię i zżył się z 19 p. ułanów - „trzymał” się tu - za wszelką cenę.

On jeden chyba, jako dawny oficer austriackiej armii, gdzie był również lekarzem

weterynarii, a zatem, ani z rosyjskiej armii, ani „Jaworzyk", a zwykły „austriec" – doskonale zżył się z naszym pułkiem.

– „Kolbe „pasuje" do nas, – to swój chłop!' – mówiono o nim w pułku.

On sam czuł się rodzonym „Jaworzykiem" – ubolewał tylko, że nie mógł nosić barw pułku, należał bowiem do korpusu „służb", a korpus „służb" – miał swoje barwy.

– Ty Kolbe, proś o przeniesienie z korpusu „służb" do korpusu oficerów kawalerii! – mówili żartem płk. Borchwicz-Lewiński i pułkownik „Foma".

– Będziesz narazie dowodził sekcją, a później ..... moje i pluton dostaniesz!

Myślę, że gdyby wet. Kolbe znał się choć trochę na służbie liniowej kawalerii – napewno by tak i zrobił.

– No, ale dla niego chyba będziemy musieli słonia sprowadzić! (Doktor był olbrzymiego wzrostu

str. 302

i silny budowy - ważył około 100 kg.

Był kawalerem (starszym) lubił wypić i poflirtować, miał w Ostrogu „swoje chody” i często wracał do koszar (mieszkał w bloku oficerskim) nad ranem.

Koszary, - jak zwykle obstawione były posterunkami wartowników, a od godziny 22ej do 6 rano obowiązywało hasło. Wracający z miasta w godzinach po 22ej przechodzili przez bramę główną przy której była budka „kapralówka” w której pełnił służbę kapral służby nadterminowy. Kaprale ci znali mieszkańców koszar doskonale, a specjalnie swoich oficerów, dlatego w tym punkcie - dla swoich hasło nie obowiązywało.

Jeżeli ktoś chciał ominąć „oczu kaprala” mógł przejść przez „tajne wejście” przez park koszarowy. „Tajne wejście” była to zwyczajna dziura w płocie, które podpierał administracyjny

wachmistrz Sławiński zaperował kilka razy dziennie - ale dziura była zawsze. Sławiński klął, zaperował, a ktoś zawsze - „odreperowywał".

Droga przez „tajne wejście" była o tyle niebezpieczna, że prowadziła blisko od magazynu amunicji i broni.

Ze względu na to, że koszary leżały bardzo blisko granicy radzieckiej, na posterunek koło tego magazynu stawiano dwóch ułanów i dobierano najlepszych.

Kto dobrze znał tę drogę, to po przejściu „tajnego wejścia" skręcał w prawo i tym samym oddalał się od magazynu - t.j. od zasięgu linii służby wartowników.

Ale to trzeba było znać i nie mieć w „czubie". Kolbe drogę tę znał słabo i tego dnia właśnie miał „w czubie".

Noc ciemna i pada deszcz. Aby skrócić drogę dr. Kolbe decyduje się przejść do domu

str. 304

przez „tajne wyjście,” ale hasła nie znał.
Przeszedł przez dziurę w płocie, a dalej
zabłądził, nie skręcił w prawo i poszedł
wprost na magazyn broni.

– Stój, kto idzie?
– To ja... wariacie! Major Kolbe!
– Hasło?
– Jakie tam hasło, ja do domu idę!
– Padnij, ani kroku dalej!
– Synku, ty pewno zwariował, tyż
musisz mnie znać.

Ułan wartownik był „twardy”
– Padnij, – bo strzelam!
– Synku, jak tu padać, taki błoto,
a ja mam na sobie nowy mundur,
opamiętaj się!
– Padnij, ostatnie ostrzeżenie!
– Synku,... ale w tym czasie padł
strzał. Major jak długi padł w błoto.
– Nie wstawać, bo strzelam!

– Czyś ty synku zgłupiał, mnie mokro i zimno!
– Nie wstawać, - bo strzelam!!

W deszczu, w błocie, leżał biedny doktór, aż do czasu przybycia dowódcy warty - trwało to około 6-8 minut.

Dowódca warty znał doktora doskonale.
– Bardzo mi przykro panie majorze, ale wartownik ma rację - jego obowiązuje hasło-nie, a pan major... hasła nie zna.

Biedny doktór wrócił do domu zły, mokry, zziębnięty i cały w błocie.

Incydent ten wywołał dużo śmiechu, a ułan wartownik otrzymał w pułkowym rozkazie pochwałę, działał bowiem „twardo" w myśl przepisów regulaminu służby wartowniczej. Utarło się w pułku takie powiedzonko: -
„uważaj by ci tak nie poszło - jak Kolbernie z dziurą."

— • —

Defilada na „oklep"

Szwadronem C.K.M. dowodził bardzo miły „żelazny"* porucznik kaw. Jerzy Wyrzykowski.

Miał on dużo zalet, ale jak i każdy prawie człowiek - miał wady.
Lubił „zalać robaka" i często się zakochiwał - przeważnie bez wzajemności.

Tym razem zakochał się na „zabój" w jednej z panien Łukiczanek (ostrogskie piękności). Szans powodzenia nie miał żadnych, ale... serce nie sługa:
- Żyć bez niej nie mogę!
Beznadziejna miłość trwała przeszło rok.

Panna Łukiczanka przyzwyczaiła się do Jurka, dobrze go traktowała, ale ciągle powtarzała stanowczo, że zamąż za niego nie wyjdzie.

Biedny Jurek rozpaczał i zaczął czę-

* żelazny = długo nie awansował.

ściej zaglądać do kieliszka.

Któregoś dnia przed wieczorem, miał już lekką „śrubę" i... postanowił:

– Idę oświadczyć się rodzicom!

Protesty i rady kolegów – nic pomogły.

Ubrał się w mundur galowy, przypiął szablę, (szabla stanowiła obowiązkowy komplet do stroju galowego) włożył białe rękawiczki i... pojechał w oświadczyny.

Tak, jak było do przewidzenia, dostał... „kosza."

Stary pan Łukasz starał się wytłumaczyć mu, że córka jego jeszcze nie ma zamiaru wychodzić zamąż, że to i owo. Przyjął go bardzo serdecznie, zostawił u siebie na kolacji, ale..... odmówił.

Zrozpaczony Jurek nie poszedł do domu, a mając teraz rzeczywiście „podstawę" – poszedł do „Dementia"ˣ – dobić dręczącego „robaka"!

Jak to zawsze bywa, znalazł tam kogoś, – kogo „robak" również ssał od dawna, no i do spółki za-

ˣ restauracja.

łowali tego przeklętego rybaka, aż do rana.

Trzeba takiego paskudnego zbiegu okoliczności, że właśnie w dniu tym „nawalił" wodociąg miejski - zabrakło wody do pojenia koni. W tym wypadku, szwadrony jeździły poić konie do rzeki Wilyka - dopływ Horynia.

Rzeczułka ta przebiegała niestety przez przeciwległe do koszar przedmieście - trzeba było przejeżdżać przez całe miasto.

Jurek - (o braku wody nic wiedział) tak jak był na oświadczynach, w szaserach, sztybletach, w białych rękawiczkach i szablą u boku, - na bardzo „niepewnych" nogach - wyruszył do domu.

W tym czasie właśnie przejeżdżały szwadrony i trzeba znów trafu, że nadchodził właśnie jego szwadron. (C.K.M.)

Wachmistrz, który prowadził szwadron zobaczył swego człowieka i naturalnie podał

komendę:

- Baczność! na lewo patrz! - sam przyjechał z meldunkiem.

- Czołem ułani! - zagrzmiał Jurek.

- Czołem panie poruczniku!

- Dokąd wachmistrz prowadzi szwadron?

- Do wody panie poruczniku!

- A. a. a, to doskonale!... dawać mego konia!

- Ależ panie poruczniku!.. konie bez siodeł!

- T.o.o.. . nie szkodzi! dawać konia!

Co miał biedny wachmistrz zrobić? Kazał podprowadzić porucznikowego konia.

Ułani dyskretnie uśmiechali się, - no bo dziwnie to wyglądało.... pan porucznik w stroju galowym, konno na oklep o 6ej rano prowadzi szwadron do wodopoju, a z miny porucznikowskiej i z „dosiadu"... widać, że pan porucznik trochę ...... zmęczony.

Jurek zaprowadził szwadron do wodopoju, a napotykane szwadrony prowadzone przez podoficerów

dziwiły się:

- co za święto w Szwadronie K. M. - prowadzi sam dowódca szwadronu, na koniu bez siodła i w galowym mundurze?

W drodze powrotnej szwadron musiał przejeżdżać około bramy głównej koszar, obok pawilonu oficerskiego.

I znów... pech. Przed bramą stał dowódca pułku, i to nie stary swój pułkownik Brochwicz-Lewiński, a nowy i dziś nowy - płkownik Bohusz.

Wachmistrz zobaczył pułkownika już zdała podgalopował do Jurka:-

- Panie porucznika, niech pan zejdzie z konia bo w bramie stoi dowódca pułku!

- Pocałuj mnie w nos!... niech widzi jak oficerowie już od rana pracują!... i pojechał do tej.

- Sz..w.a.d..r.o.n - baaczność!

Pułkownik Bohusz utkwił zdziwiony wzrok w „gołego" dowódcę szwadronu....

- A cóż to pan w takim „gali" i na oklep panie poruczniku?

– Tak wygląda ułan, który wczoraj dostał „kosza”... panie pułkowniku.

– Ahh.a.a! no to niech pan pokaże, jak wygląda ułan..., który staje do raportu karnego.

Pułkownik Bołtuć ukarał Jurka najwyższym wymiarem kary, jaki przysługiwał dowódcy pułku.

Mogło być gorzej, ale Jurka ratowało to, że był on ogólnie doskonałym oficerem i kawalerem orderu „Virtuti Militari”.

— " —

Jak zobaczysz ciotkę mą.....

Zapalonym wyścigowcem był porucznik Turski. Miał dość dobre konie wyścigowe, ale nie zawsze wygrywał. Miał nieraz z tego powodu tarapaty finansowe. W takich wypadkach depeszował do dowódcy pułku lub kwatermistrza, który przez posłanie pieniędzy wyciągali go z biedy.

Któryś tam rok, może 1925ty może 27my, był dla Turskiego specjalnie pechowy. Depesze do pułku leciały jedna po drugiej.

Dowódcy pułku i kwatermistrza (mjr Zawistowski) depesze te już zdenerwowały.

— Figę mu poślemy nie pieniądze! —

Na jedną z depesz mjr. Zawistowski zadepeszował do Turskiego: -

— „Jak zobaczysz ciotkę moją... to jej się kłaniaj"
(-) Zawistowski.

Były to słowa z jednej z modnych wówczas piosenek.

Pisząc „Migawki" z 19 Pułku Ułanów Wołyńskich nie mogę nie wyliczyć nazwisk, choćby ludzi pułku z tego okresu, który stanowili „filary" pułku. Jaki los spotkał ich w 1939 nie wiem.

Do „filarów" tych należeli:

Major Stanisław Królicki, owczesny kwatermistrz - późniejszy dowódca 7 pułku Strzelców Konnych,
rotmistrz Eugeniusz Wiszniewski,
rotmistrz Władysław Lenchert- Pytel,
rotmistrz Jerzy Wiśniewski,
rotmistrz Michał Kłopotowski,
rotmistrz Stanisław Łukasiewicz,
st. wachm. Demczuk (Dremka- doskonały kozak)
" — " Migdał
" — " Fedosiuk.

Wspomnienia
z
2go Pułku Strzelców Konnych.
Odznaczonego Orderem Virtuti Militari 5 Kl. (1939).

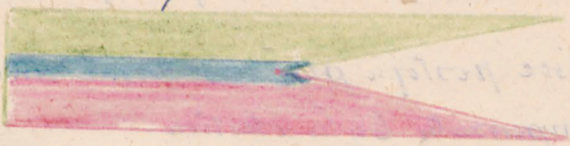

Małe powiatowe miasteczko, dość brzydkie, „zabite deskami,"- stacja kolejowa daleko od miasta, starostwo, magistrat, kilkanaście sklepów, licha kawiarenka, dość dobra restauracja „Klub Ziemiański" biblioteka, kościół i cerkiew prawosławna - to wszystko.

Miasteczko to nosi nazwę Hrubieszów, Ziemi Lubelskiej - stały postój 2go Pułku Strzelców Konnych.

Dla mnie osobiście atrakcją miasteczka była dość dobrze zaopatrzona biblioteka powiatowa. Mogę się pochwalić, że byłem pilnym czytelnikiem - dwukrotnie otrzymałem powiatową nagrodę za największą ilość przeczytanych książek w ciągu roku.

Koszary pułku, dawne koszary rosyjskiego pułku „Olwiopolskich Ułanów" położone na przedmieściu Hrubieszowa przy szosie: Chełm - Hrubieszów - Włodzimierz - Wołyński, przedzielone od miasta rachityczną

rzeczką Huczwą.

Zapomniałem nadmienić, że było w Hrubieszowie obskurne kino, w którym byłem raz czy dwa.

Miejsce postoju pułku - mało atrakcyjne, ale rekompensatą była okolica.

Ziemia lubelska ma dobrą glebę i z tego tytułu rozsiadło się na niej dużo dworów.

Otóż to „dwory polskie" stały się atrakcją Korpusu Oficerskiego Pułku.

Zasadniczo pułk żył życiem własnym, kadra oficerska mieszkała na terenie koszar w „blokach oficerskich", ale już w okresie mojej służby w pułku, nawiązane były bardzo miłe stosunki towarzyskie z okolicznym ziemiaństwem. Wielu z nich byli oficerami rezerwy naszego pułku. W owych „dworach" bywaliśmy często, no i „dwory" bywały u nas, jako goście pułku, lub jako goście poszczególnych rodzin oficerskich.

O współżyciu z „dworami" wspomnę, a teraz dla wygody czytelnika - kilka słów o pułku i jego życiu.

2gi pluton 2go Szwadronu 2go Pułku Strzelców Konnych (fragment). rok 1935.

2gi pluton 2 szwadronu 2.p.s.k.
rok 1935.
Przed wymarszem do Warszawy
jako pluton honorowy ze sztandarem
na pogrzeb Marszałka Piłsudskiego.
Dca plutonu por. nas. Jarosław Su-
chowski na koniu wał. „Atak".

Pułk 2gi Strzelców Konnych, jak i inne ówczesne pułki kawalerii W.P. składał się z: 1. Kadry oficerskiej, 2 Kadry podoficerów zawodowych, 3. Szeregowych służby czynnej odbywających służbę obowiązkową, która trwała 2 lata.

Pułk składał się z:

czterech szwadronów liniowych, szwadronu C.K.M. plutonu łączności, plutonu trębaczy, taborów i służb. szwadronu zapasowego.

Skład kadry oficerskiej w okresie 1930-35.

Dowódca pułku - płk. Romuald Niemirtowski

Zca dcy pułku - major Stanisław Gąssowski, później ppłk. dypl. Sawicki

Kwatermistrz pułku - mjr. Henryk Dobrzański później w 1939-tym roku mjr. Hubal.

Adiutant pułku - por. kaw. Chomański

Lekarz weterynarii pułku - major Montag. asystent ppor. Didkowski.

Nazwisk płatnika pułku i lekarza - nie pamiętam.

W roku 1934 przybył z 10 p.ul. mjr Jarosław Kaczyński.

C.K.M = ciężkie karabiny maszynowe.

421 str. 316

Dowódca Igo Szwadronu rotm. Stanisław Glasser,
" 2go " – rotm. M. Radzymiński
" 3go " rotm. T. Wdziękoński
" 4go " por. kaw. Filipowski
" Szw. C.K.M. rotm. Bogdan Niemojewski,
później por. kaw. Gulewicz.

" plutonu łączności – por. kaw. Wielgosz
później Lutek Turasiewicz

dowódca Szw. zapasowego – por. kaw. Leszek Jurkowski.

Młodsi oficerowie: porucznicy kaw. Tadeusz Gierczyński, Nunno Wolński, Ryszard Kwiatkowski, Jarosław Suchowski, Tadeusz Manasun, Frankiewicz, Karwowski –
rotmistrze bez przydziału: Michalski, Sanicki
oraz podporucznicy kaw. Otto Sass, Teleżyński
Gajewski,

Kilka nazwisk zapomniałem.

Zapomniałem także, że powyżej w składzie pułku – opuściłem Szwadron Zapasowy pułku, który stacjonował przy pułku. Szwadron zapasowy

Dostr. 316 73

Zawody Konne podoficerów 17 Brygady Kawalerii w Hrubieszowie - 1934 r.
Zwycięzcy: plut. Księżopolski (od lewej) i wachm. Kosiel obaj z 2. p.s.k.
Dekoruje:-
Dca 17.B.K pułkownik Stefan Hanka-Kulesza.
obok po lewej: płk. Romuald Niemiłowski dca 2.p.s.k.

Plutonowy 2. p. s. k. Bronisław Księżopolski
czołowy jeździec kadry podoficerskiej pułku.

stanowił baz „mob" pułku, oraz zajmował się ujeżdżaniem młodych koni t. zw. „remont".

W skład służb pułku wchodzili:

oficer płatnik, oficer żywnościowy, oficer materiałowy, oficer administracyjny, oraz lekarz medycyny ludzkiej i weterynarii.

Pisząc wspomnienia z okresu służby w 2 p. s. k. pierwsze kartki poświęcam memu przełożonemu, instruktorowi jazdy, starszemu koledze i przyjacielowi majorowi Henrykowi Dobrzańskiemu - Hubalowi - słynnemu bohaterowi wojny 1939 roku.

Major Henryk Dobrzański - Hubal w wojnie 1939 roku nie złożył broni i nie zdjął munduru, walczył z Niemcami ze swoim oddziałem kawalerii. Poległ na polu chwały dnia 29. 4. 1940 roku pod Anielinem.

- " -

— „ Major właśnie nogę usiłował włożyć w strzemię, koń mu się bardzo kręcił, kiedy

76 str. 318

dostali salwę z drugiej strony.

W majora uderzyła salwa z odległości siedmiu - ośmiu metrów....

Drgnął,.. pokazał na krzaki"....

Opis śmierci majora Hubala wg słów Jego żołnierzy - na podstawie książki „Hubalczycy" Melchiora Wańkowicza.

Pogrzeb Hubala.

„ Do Studzianki wjechały dwa gnojowe wozy z trupami naszych, ciągnęły za wozami poległych Niemców.

Okazało się, że jest pięciu zabitych Hubalczyków - było ich w tej bitwie tylko 22 ch, - a Niemców... dwie dywizje.

W zmarłe oczy Hubalczyków rozwścieczeni hitlerowcy walili kamieniami - twarze ich były zmasakrowane.

Nagle wyzwiska urwały się, tłum

dost. 318-319

47

Mjr Henryk Dobrzański — Hubal. Zdjęcie sprzed wojny. (Ze zbiorów mgr. P. Sieranta).

stężał. Pod drugi wóz gnojowy podjechała czarna lśniąca limuzyna.
Wysiadł z niej niemiecki generał Blaskowitz i podszedł do wozu na którym leżał major Hubal - „der tolle Major" - jak Go nazywali Niemcy.

Twarz Jego, w okolu ciemnoblond brody o złotych refleksach, była blada i wykrwawiona, ale - czyto, że wieźli Go w drugim wozie - nikt nie zadrasnął - Jej twarzy.

Oczu Hubalowi nikt nie zamknął, i teraz, mając obficie gnoju podsypanego pod głowę, i jakby wyniesiony - patrzył w twarz tego, który kiedyś zmiatał przed Nim z obławy, który teraz pokonał Go w.... rycerskiej walce

Długo salutował generał Blaskowitz rzuconego na gnój Przeciwnika.
Powoli ręce świty pocztu podjeżdżać do daszków, za nimi salutowali oficerowie w tłumie, za nimi rycerscy przed chustą tłum zbierał kopyta na baczność.

80 str. ~~320~~

Generał Blaskowitz długo nie odejmo-
wał ręki od daszka.....

Był to dzień 30 kwietnia 1940 roku.

Blaskowitz warknął jakąś komendę -
posunęli od lśniącej limuzyny świetnie ofi-
cerowie i dźwignęli Ugrzęzione Zwłoki.
Złożyli Je w samochód.

W Tomaszowie natomiast ustawili
Mu katafalk w koszarach. W koszarach
polskich, które teraz były niemieckie.

Ustawili Mu nad głową puszony i
dęli marsz żałobny Szopena zakazywa-
nego w Polsce.

Szef Sztabu gen. Blaskowitz wystąpił z
przemową: - „To - bohater"

Na trzeci dzień wywieźli zwłoki i słuch o
nich przepadł. Podobno pochowano go z
dobrymi honorami wojskowymi, a na mogile
postawiono krzyż z napisem:

„Hier liegt ein Held"

wg. Melchiora Wańkowicza.

A teraz dalej o pułku.

Razem kadra oficerów zawodowych pułku wynosiła 35-40 oficerów, z tego około 50% żonatych.

Dla wprowadzenia czytelnika w tryb pracy i życia pułku - stwierdzam:

praca oficerów pułku stała na wysokim poziomie, - do bajek trzeba zaliczyć niewczesną legendę, że w kawalerii były tylko hulanki, pobrzękiwanie szabelką, dziewczynki i nierobstwo.

Były czasem i hulanki, były dziewczynki, był i „fason ułański" - ale to po służbie. Nie byliśmy zakonnikami.

W służbie była uczciwa i dość ciężka praca. Oficer pracował według „minutowego programu", który stosownie do planu zajęć pułku musiał zawsze mieć przy sobie i do niego ściśle się stosować.

Pracowaliśmy od 7ej do 18 z przerwą na obiad (2 godziny). Oprócz tego różnego rodzaju dyżury, manewry, strzelania poza garnizonem - to już bez określonych godzin pracy - 12 i 14 godzin na dobę

82 str. 322

Do czasu wolnego zaliczyć można tylko czas po 18 g., no i niedziele, święta, o ile nie wypadnie jakaś służba - np. oficera służbowego pułku (trwała 24 godziny)

Właśnie - w wolnym czasie można było „pohulać", a „fason ułański" - był zawsze - oczywiście w dodatnim znaczeniu tego określenia.

Praca, dyscyplina, etyka osobista i etyka towarzyska - stały na wysokim poziomie.

Sylwetka oficera polskiej kawalerii w latach 1918-1939 różniła się od oficerów kawalerii dawnej kawalerii austriackiej czy rosyjskiej - oczywiście na korzyść.

Po służbie - kasyno, wizyty towarzyskie, czasem kawiarnia lub Klub Ziemiański, no oczywiście „brydż", sobótki w kasynie z muzyką i tańcami.

Kilka razy do roku bale pułkowe w salach kasyna oficerskiego, oraz przyjęcia w dworach okolicznych.

Korpus oficerski pułku stanowił „dość dobrze współżyjącą kulturalną rodzinę"

Specjalną grupę kadry oficerskiej pułku stanowili fanatycy konia i sportu konnego. Grupa ta zajęta była dosłownie przez cały długi dzień. Trzeba było pogodzić służbę i pracę na 3-4 koniach sportowych.
Latem dało się to pogodzić łatwo, gorzej jesienią i zimą. Ratowała „kryta ujeżdżalnia" z której można było korzystać w czasie w którym nie ćwiczyły tam plutony.

Do grupy sportu konnego należeli wówczas porucznicy - Leszek Jurkowski, Jarosław Suchorski, Tadeusz Gierasieński - to rdzeń grupy. Byli i inni, ale nie „fanatycy" - ci mieli po 1-2 konie sportowe, mieli zatem więcej czasu dla siebie.

Praca w grupie sportowej zajmowała dużo czasu, ale dawała wiele przyjemności, szczególnie w okresie „sezonu" t.j. latem i jesienią - czasem i zimą.

Jeździliśmy na zawody konne po całej Polsce z Międzynarodowym Lwowem i Militari

84 str. 3~~94~~

W. P. na czele.

Przechodzę do wspomnień w których będę mówił o osobach poświadczonych [?] wspominając jaknajserdeczniej kilku miłych mi przyjaciół - pamięć których czczę i jako oficer i jako kolega.

Nie znaczy to, że bez wzruszenia wspominam cały Korpus Oficerski Pułku - ci któ-rych wspominam w „Migawkach" byli mi mniej serdecznymi bądź przełożonymi kolegami, bądź kolegami.

Do nich zaliczam:

Majora Henia Dobrzańskiego - Hubala.

O Nim już wspominałem.

Chcę dodać, że był to wspaniały kolega, rasowy kawalerzysta, wybitny jeździec. Zdobył w Londynie w roku 1924 - złotą papierośnicę - nagrodę ks. Walii.

Nie zupełnie zgadzam się z Panem Melchiorem Wańkowiczem, który w swej książce „Hubalczycy" chwaląc w swej ocenie sta-

cia Hubala nie na właściwym miejscu.
Z niektórymi oświetleniami w ocenie pisarza nie zgadzam się.
Ocenił On majora jako pisarz i cywil „z daleka", a ja oceniam jako oficer i kolega na podstawie długoletniej wspólnej służby, na „codzień" i w różnych okolicznościach życiowych, których Pan Melchior Wańkowicz nie mógł widzieć.

Henio miał niераз poważne zatargi z przełożonymi, - był stanowczy, posiadał dużo „cywilnej odwagi", inteligencją przerastał wielu i dlatego nie zawsze - „stukał w obcasy" i odpowiadał: „tak jest." Potrafił wyraźnie powiedzieć „nie" i to każdemu „naczalstwu".. i zawsze miał rację. O Nim będę jeszcze pisał w kilku fragmentach.

-.-

Major Stanisław Gąssowski - obecnie podobno mieszka w Ugandzie.

Były legionista Beliny, doskonały oficer kawalerii, dobry i sprawiedliwy przełożony /był

przez pewien czas zastępca dcy pułku) wspaniały kolega. Typ szlagona polskiego.

On też nie lubił „gęsę krzyża", co doprowadziło do tego, że musiał odejść ze służby czynnej w W. P.

W „cywilu" był starostą powiatowym w Lidzie na Wileńszczyźnie.

Po moim przeniesieniu do Korpusu Ochrony Pogranicza miałem możność stykania się z różnymi ludźmi powiatu lidskiego – wszyscy, specjalnie ludzie prości w superlatywach mówili o „swoim staroście".

–"–

Rotmistrz Tomasz Wadzięcki – popularny w pułku „Foma".

Jeśli się mówiło o 2 pułku S.K. – nie można było nie mówić o rotmistrzu „Fomie".

„Foma" – to bard pułku i swego czasu „żelazny porucznik" – najstarszy okresem służby oficer pułku.

„Foma" nie wyobrażał sobie innej służby

nie w kawalerii i w żadnym innym pułku -
tylko w 2gim Strzelców Konnych... nawet całe
życie „żelaznym porucznikiem".

Wspaniały człowiek, gorąco lubiany dosłownie
przez wszystkich. „Człowiek o gołębim sercu".

Zdjąć własną ostatnią koszulę i oddać ją
potrzebującemu - to dla Fomy chleb powszedni.

Doskonały oficer kawalerii i wspaniały ko-
lega - miał jednak swoje dwie słabostki: -
lubił „zalać robaka" i beznadziejnie kochał
się w żonie oficera pułku, zresztą swego serdecznego
przyjaciela.

Miłość ta była oczywiście bez wzajemności -
wiedzieli o tym wszyscy.
Foma nigdy nie miał nawet cienia nadziei -
pomimo to kochał się uparcie.

Wszyscy wiedzieli, że dla Fomy nie istnieją
kobiety oprócz pani Z, a my jego najbliżsi koledzy
możemy fakt ten z czystym sumieniem potwier-
dzić.

Foma zginął w czasie okupacji, zamordowa-
ny gdzieś w okolicach Hrubieszowa - przez gestapo.

Rotmistrz Leszek Jurkowski... mój kochany, najlepszy przyjaciel.

Ulubieniec pułku, wybitny oficer kawalerii, „złoty człowiek", najlepszy kolega - typ „bradiagi" w najlepszym znaczeniu tego słowa. Świetny jeździec - fanatyk konia i jeździectwa.

Pochodził z Ukrainy. Zginął na „polu chwały" w końcu września 1939 roku i tak się złożyło, że poległ właśnie tuż pod Hrubieszowem.

Jego żona Hania, na drugi dzień po bitwie znalazła Go śród zabitych. - był podziurawiony kulami - jak rzeszoto.

- " -

Z szacunkiem wspominam dowódcę pułku - pułkownika Romualda Niemirowskiego.

Dał się nam nieraz „we znaki", ale był spokojnie sprawiedliwy, a kogo lubił, nawet pobłażliwy. Sam dużo pracował, tego i od nas

→ rotmistrz Leszek Jarnowski

na koniu „Wampir" - rok 1936 lub 1937

Pluton Trębaczy 2 p.s.k
na czele kapelmistrz
wachmistrz Uszacek

wymagał, ale oceniał oficera sprawiedliwie.
Podczas pokoju dowodził pułkiem dobrze - pułk nasz w Brygadzie zajmował czołowe miejsce.

W stosunkach towarzyskich bardzo kulturalny i miły, bezpośredni, bez manii wielkości.

Dom państwa Niementowskich był gościnny i jednakowo miły dla wszystkich.

-"-

Słów kilka o szeregowych pułku:
do szeregowych należeli:- podoficerowie, strzelcy konni.

Korpus podoficerski pułku składał się z podoficerów zawodowych i nadterminowych.

Ogólnie oceniam podoficerów kawalerii polskiej, w tej liczbie i podoficerów naszego pułku - bardzo wysoko. Byli to ludzie dużej pracy, oddani swemu zawodowi, doskonale znający służbę - nie posiadali średniego wykształcenia, ale byli inteligentni.

Byli zupełnie innym typem podoficera niż w armiach: niemieckiej, austriackiej czy rosyjskiej - nie byli t.zw. „żupakiem", a dobrym typem polskiego podoficera. Większość podoficerów zaw. mieszkała

na terenie koszar w blokach podoficerskich.
Pułk posiadał także i „kasyno podoficerskie", w którym odbywały się sobótki i bale podoficerskie.

Postawę polskiego podoficera kawalerii w służbie i poza służbą oceniam jako bardzo dobrą.

Podoficerowie byli dobrze uposażeni, tak że ich i ich rodzin stopa życiowa nie odbiegała od oficerskiej.

Podoficer zaw. pracował więcej niż oficer - oprócz ćwiczeń z kontyngentem dopilnowywał koni i porządku dziennego w rejonie swego szwadronu.

Moim zdaniem podoficer był jednak pokrzywdzony sposobem traktowania go - w wielu wypadkach stosunek oficera do podoficera podkreślał, że podoficer-to szeregowy.

Szeregowi służby czynnej:—
ułan czy strzelec konny służył 2 lata.
Z chwilą przybycia do pułku i aż do zakończenia służby był pod opieką pułku.

W ciągu dwu lat służby przechodził „szkołę" — ale „szkoła" ta nie była ciężka. Szkolenie kontyngentu i cały dzień bytowy szeregowca szyty był planem pułkowym sporządzonym na podstawie wytycznych M.S.Wojsk. Do przeprowadzania zmian — a specjalnie niekorzystnych, nikt nie był upoważniony.

Szeregowiec, tak jak i każdy żołnierz podlegał dyscyplinie, która nie była ani za surowa, ani godząca we własne ja.

~~Sprawy~~ warunki bytowe szeregowca w pułku b. dobre: każdy spał na łóżku - miał dwa prześcieradła, dwa koce - koszary dobrze opalane - umywalnia i ubikacje też przy salach sypialnych. Karmienie b. dobre. Każdy przybierał na wadze po kilka 10-12 kg. Opieka lekarska b. dobra.

Niedopuszczalne bicie, lub karanie nie zgodne z przepisami. Karać mógł tylko dowódca szwadronu i dowódca pułku i to po zbadaniu sprawy. Kara mogła być nałożona tylko po odbyciu „raportu karnego."

Szeregowcy - stawali się „patriotami" pułku związanymi z pułkiem przez całe życie.

A teraz - fragmenty wspomnień z 2 p.s.k.

Zakład.

Henio (mjr Dobrzański - Hubal) sprowadził z toru wyścigowego dwa swoje konie pełnej krwi angielskiej: klacz „Iskora" i wałach „Nie-ci-do-tego", który był prezentem żony - Pani Zofii.

Gdy Henio zapytał skąd wzięła tyle pieniędzy na kupno młodego konia pełnej krwi - odpowiedziała: nie ci do tego!
Stąd nazwa konia „Nie-ci-do-tego".

Państwo Dobrzańscy byli z „cywila" zamożnymi ludźmi.

Przybycie tych koni do pułku wywołało niesłychaną sensację. W owych czasach bowiem mało kto miał pod siodłem sportowym konia pełnej krwi angielskiej.

– Sławek, leć szybko do Majora, podobno dostajesz te „wolbluty".

Nie wierzyłem temu, ale cichcem pobiegłem, by konie te zobaczyć.

O dziwo! – przed stajnią mego szwadronu

stały trzymane przez luzaków dwa piękne rumaki, a dookoła nich prawie cały pułk - oficerowie, podoficerowie, strzelcy - no i kilka pań.

— No Sławek, bierz te dwa „kaktusy" (Henio nazywał konie „kaktusami") i jedź, a za rok zobaczymy czego się major Dobrzański nauczył! Tyle major.

Z wrażenia, najpierw „zatkało" mnie, a gdy obejrzałem konie z bliska - „oko mi zbielało". Nic dziwnego - były to kapitalne „volbluty"

„Iskra" - kara, wzrost 168 cm. o typie doskonałego „volbluta". Z jej postawy i wzroku wyczułem, że jest nerwowa - ale w mojej pracy napewno uspokoi się.

„Nic-ci-do-tego" - wspaniały skaro-gniady wałach, wzrost ponad 169 cm. o typie pogrubionego volbluta, ale jaka budowa, jaka harmonia budowy? a z oczu mu dobrze „patrzy". Byłem przekonany, że jest on spokojniejszy od „Iskry" - nie omyliłem się.

Miałem wówczas swoje trzy konie sportowe, a

teraz te dwa - kiedy to jeździć?
Ale ... nie jeździć ... na półkrwiach?

Nie wiedziałem jak te konie ulokować ... najlepiej zabrałbym je do siebie ... do mieszkania.

Moi koledzy oczywiście zazdrościli, a ja? ... chodziłem z zadartym nosem.

— Co tam wasze „krampy" - pół krwi? ... trzeba być „urodzonym w czepku" - nabijałem się gdzie mogłem.

Zacząłem pracować. Tak jak oceniałem w pierwszym spotkaniu - „Izora" była trudną do ujeżdżenia, ale „Nic-ci-do-tego" poddawał się ujeżdżeniu doskonale. Oba te konie miały po 5 lat, a zatem mogłem ich „pocisnąć" w pracy, tak że wiosną roku następnego - „Nic" już doskonale pracował na czworoboku i bardzo dobrze skakał. (Zamiast. Nic-ci-do-tego" będę używał tylko „Nic")

W lipcu wygrałem na nim konkurs cięższy (ok. 1.5) we Włodzimierzu Wołyńskim. Zdobyłem „Wielką Nagrodę" Szkoły Podchorążych

Rozrywy Artylerii - w dużej ilości oraz i poważnej konkurencji.

Sezon przed nami, stawiałem na „Nic'a" wiek.

Pewnej niedzieli przy końcu czerwca położyłem się po obiedzie „w kimono".
Zasypiałem ... ale w tym momencie usłyszałem jakąś rozmowę w kuchni. Po chwili wszedł ordynans:-

- Panie poruczniku, przyszedł podoficer służbowy pułku;- pan porucznik ma zaraz zameldować się w Kasynie u pana majora Ł[illegible]obrzańskiego.

- P.. s..a krew, koniec spania! Wstaję.
Co to może być? Henio siedzi w kasynie .....
pewno jakaś mocniejsza popijawa?

Nie bardzo mi to odpowiadało, ale jeśli tego życzy sobie major,... to i do piekła bym wskoczył.

Wchodzę do gmachu kasyna. W drzwiach napotykam kolegę, który pełnił służbę „oficera służbowego" pułku.

- Sławek prędzej, major już się denerwuje!
- A co tam robi i kto tam jest?

– Kilku naszych z paniami i ktoś z okolicy, siedzą w małym salonику.

– Aha! znaczy zaraz „dwa karne" w przysiadzie, a potem piosenki kozackie, Henio je bardzo lubił i gdy tylko sprzyjały warunki – kazał mi śpiewać.
No cóż! niema rady... idę.

W saloniku zastałem liczne towarzystwo, które „po dobrym obiadku" zasiadło tu przy kawie. Stuknąłem w obcasy:

– Panie majorze! melduję się posłusznie na rozkaz!
Cisza... major zamiast „strzelić palcami" co oznaczało „przysiad", wstał i z poważną miną, chociaż Jego oczy, stale (stal) wesołe, mówiły coś innego – powiedział:–
– Ile potrzebujesz czasu by dobrze rozpisyć „Nic'a"?

Zaskoczył mnie!... o co chodzi?... ale pytanie wyraźne!
– Około 50-60 minut, panie majorze!
– Dobrze! – teraz jest 15⁴⁰, masz 20 minut na siodłanie, 60 m. na rozprężanie, potem o 17⁰⁰

zameldujesz się u mnie na placu sportowym - na dobrze rozprężonym koniu!

- Rozkaz panie Majorze!

- Możesz odejść!

To wszystko, - krótko i jasno. W tył zwrot i byłem już za drzwiami saloniku. Nie przywitałem się nawet z tam obecnymi, - no ale było to spotkanie jakby służbowe.

Z min obecnych w saloniku zrozumiałem, że Henio coś poważnego zaplanował. Przecież nie mogłem Go o to zapytać. Szybko do stajni. Czekał tam już na mnie Leszek (rtm. Jurkowski) z przerażoną miną. Wymknął się on z saloniku, by poufnie wyjaśnić mnie tajemnicę i pomóc.

- Wiesz co - Sławek!

- Nie niewiem, a ty.. wiesz?

- Tak! Henio założył się, że „Nie" skoczy 1.80 m... jestem przerażony,... przecież on takiej wysokości jeszcze nie skakał. -

Leszek był serdecznie przejęty i pełen obawy.

Luzak siodłał „Nica", a my z Leszkiem medytowaliśmy.... skoczy? - czy nie?

Przygotowaniom przeszkód miał zająć się Leszek w czasie gdy ja będę rozprężał konia. Miał rozkaz majora postawić 3 do skoku i 2 do rozprężania - jakie - pozwi major.

— Stawiaj Leszurnu, a te dwie postaw odpowiednio do „tamtych".

Luzak podał konia. Siadłem.

— No jedź, a ja idę do przeszkód. Pamiętaj tylko.... dobrze go „rozemnij"!.

Innej rady nie dałby i Salomon.

Podczas rozprężania „Nic" chodził doskonale. Czas jechać na plac.

W drodze pomiędzy stajniami łapie mnie dowódca pułku płk. Niemontowski, uderza trzcinką po cholewie buta - znak, że jest zły, lub zdenerwowany.

— Dokąd pan jedzie... panie porucznika? Oho... panie, a nie... ty"... niedobrze.

— Kazał mi się zameldować na placu sportowym pan major Dobrzański - panie pułkowniku!

— Nigdzie pan nie pojedzie... z konia i do stajni... ja na głupstwa nie pozwolę... słyszy pan?

Zaskoczył mnie. Dwa rozkazy... sprzeczne. Co robić? Za chwilę już wiedziałem.

— Pan pułkownik pozwoli zameldować — rozkaz pana majora jest rozkazem przyjacielskim i rozkazem honoru,... nie wykonać go... nie mogę.

— A ja... sobie tego nie życzę!

Mocno uderzył trzcinką po cholewach butów, błyskawicznie się odwrócił i szybko poszedł w kierunku swego domu.

Wjeżdżam na plac. Na ławkach trybun pełno widzów - prawie wszyscy mieszkańcy koszar. Zupełna cisza, a oczy skierowane na mnie.
Na placu ustawione 5 przeszkód i koło nich - Leszek, ale blady jak „ściana".

— Gdzie major?

— Tam! — wskazał mi ręką.

— Sławek! niech to cholera... trzymaj się!

Podjeżdżam do majora - wstał.

— Panie majorze! melduję się posłusznie na dłuż

str. ~~340~~

rozprzężonym koniu!

– Dobrze, dziękuję! – te trzy przeszkody masz skoczyć... najazd na każdą trzykrotny (w wypadku potrzeby). Tamte dwie do rozprzężenia według twego uznania... rozumiesz!
– Skocz dowolnie tamte dwie, możesz objechać te trzy i jak będziesz gotów... podniosę rękę, skoki zaczniesz na mój gwizdek... „poniatno"?

– Poniatno... panie majorze!

A na placu w dalszym ciągu cisza.... jak makiem zasiał.

Wykonałem przepisowy zwrot „na przodku" w prawo w tył – „Nic" zrobił to doskonale. Podjechałem do Leszka.

– Jaką masz wysokość tych dwóch przeszkód!
– Pierwsza 1.20, druga 1.40.
– Dobrze, skoczę te, a ty podnieś do 1.40 i 1.60.

Skoczyłem... „Nic" pokonał je chętnie i sobrnie. Teraz jadę obejrzeć „owe" trzy przeszkody.

Pierwsza – stacjonata z hordą wys. 1.40 –
Druga – oxer z hordą.... ok. 1.70
Trzecia.... „zatkało" mnie. Na stałym beto-

nowym rocie z wodą, zbudowany..."wagon" - jakiś trochę złagodzony "oxer" z małym płotkiem na ziemi, - jako - nie wskazówka, a "wskazówczak".

Poczułem przez chwilę, że.... kanalia "Pieter" wskoczył jako drugi na.... siodło.
Trwało to tylko chwilę. Nacisnąłem "Nicę" - spokojnie zakłusował. Zagalopowałem - dobrze, jest w "ręku" i czuje, że ma "dryg".

A na placu.... ta sama kompletna cisza.
Zatrzymałem... cofnąłem. "Pieter" już zeskoczył z siodła.... czułem jedno ... muszę skoczyć.
Teraz 3-4 skoki próbne i.... jazda.
Skoki próbne - doskonałe. Klepię "Nicę" po szyi, zwalniam szybkość galopu... zatrzymuję.
Popatrzyłem na trybuny.... cisza, oczekiwanie
Podnoszę rękę do góry... gotów!
Ciszę przerywa ostry gwizdek.
- No... Niuś! - śmiały!
Widocznie nieco silnie nacisnąłem łydkami, gdyż "Nie" wyrwał, ale po chwili już doskonale galopował w szybkości ok. 450 m/m
Wytężam całe swoje "wyczucie jeździeckie", by niczym

„Nica" nie zdenerwował,... naprowadzam na przeszkodę pierwszą - lekko dodał, postawił uszy.. skoczył. Podobnie idzie na drugą - znów świetny skok. Teraz zakręt w lewo i... ta trzecia.... skupiam się, zbieram „Nica"- najeżdżam,... ale czuję, że „Nic" po zobaczeniu przeszkody... o Boże.. hamuje.

Nie skoczył... wyłamał.

Poczułem, że podkoszulkę... mam mokrą.

Nawracam - najazd drugi.. wyłamał. Jak się czułem??? Wcale się nie czułem.. omal, że nie wyłem z rozpaczy.

Jeszcze tylko jeden najazd ... to straszne,.. a na placu wciąż ta ponura cisza.

Zatrzymałem „Nica", ukarałem kilkoma uderzeniami ostróg, ospiąłem... i nowy galop i ostatni najazd.

Ambitny, błękitnej krwi koń postanowił - skoczyć, albo się zabić.

Czułem, że teraz galopuje pode mną napięta do ostatecznych sprężyna - czułem, że teraz

skoczy.... Skoczył... i to jak! Podobno z zapasem ok. 20 cm.

Ciszę przerwały huraganowe oklaski i gromkie hurraa!
Przeszedłem do kłusa, poklepałem „Nicę", wytarłem twarz zalaną potem.

– Panie porucznku, – proszę do mnie!
Podjechałem przy akompaniamencie niemilknących oklasków, braw.

– Sławku kochany... dziękuję ci! Zakład wygrałem, a ty... wygrałeś „Nicę"!

I ten „cudny" major, ze łzą radości w swoich wesołych oczach rzucił się do mnie i długo i mocno mnie ściskał.

– Byłem pewien, że ani „Nic", ani ty – nie zawiedziecie!... A teraz proszę państwa do „Hadrysia"ˣ, uświęcić zakład i zwycięstwo.

Z konia sam nie zsiadłem, ściągnął mnie drugi serdeczny przyjaciel, któremu serce pękało z radości i dumy – Znalazłem się w mocnych ramionach Leszka.

ˣ do „Hadrysia" – to znaczy do kasyna Oficerskiego, w którym bufetowym i szefem kuchni był wachm. Hadryś.

106

str. 344.

Jak niespodziewanie doszedłem do posiadania pięknego i dobrego konia „pełnej krwi”, a tego wieczora, a właściwie rana ... sam do własnej chałupy trafić nie mogłem.

Dowódca pułku – do raportu mnie nie wezwał, ale długo dąsał się na mnie. Dopiero przy jakiejś okazji sam i po przyjacielsku poruszył sprawę zakładu, przyznał:

– No tak! inaczej postąpić nie mogłeś!

Henio natomiast, dostał porządną „wcirę.”

— „ —

Skoczył... i to jak?

Bieg myśliwski - imienia Pani W.

Wielką uroczystością i dużą imprezą sportową pułku był tradycyjny „Bieg myśliwski św. Huberta", który odbywał się każdego roku w końcu października lub na początku listopada (zasadniczo dzień św. Huberta przypada na 3 listopada).

Impreza ta, w każdym pułku kawalerii miała charakter sportowej jeździeckiej uroczystości, była miłą rozrywką i do pewnego stopnia hazardem i punktem honoru jeździeckiego - trwała przez cały dzień. Bieg bowiem rozpoczynał się o 10h, a po zakończeniu, przeważnie w lesie, spożywano tradycyjny „bigos" wzmacniany słodkim „krupnikiem"ˣ i dopiero o zmierzchu powrót kawalkada do domu, a wieczorem bal w Kasynie Oficerskim.

Dnia poprzedniego, albo i wcześniej zjeżdżali się goście - jeźdźcy i kibice płci obojga.
Zjeżdżało okoliczne ziemiaństwo z córeczkami i synalkami, który mieli okazję do „popisu".
Przyjeżdżali oficerowie sąsiednich pułków kawa-

ˣ krupnik" - specjalnie przyprawiony spirytus na miodzie - pity na gorąco.

lerii i artylerii konnej i lekkiej - ze swoimi końmi.

W dniu „biegu", już od 8 rano teren koszar roił się jak w „ulu" i mienił się kolorowymi „redingotami"x i barwami mundurów ułańskich. Nastrój uzupełniali pułkowi trębacze, którzy pięknie wygrywali różne, specjalnie melodie „myśliwskie".

Kilka minut przed 10^{3} na plac pułkowy wjeżdżał pluton trębaczy (orkiestra pułkowa) na siwych koniach, a luzacy wprowadzali konie uczestników.

Podnieceni uczestnicy obojga płci biegali tu i tam, czyniąc ostatnie przygotowania. Na obok wyznaczony plac podjeżdżały powozy, bryczki, wolanty i samochody dla gości „kibiców".

O godzinie 10-ej trębacz sygnalista podnosi do ust sygnałówkę i ogłasza: „na koń i zbiórka!"

W mgnieniu oka jeźdźcy dosiadają koni. Na zbiórkę - w szeregu rozwiniętym staje barwna kawalkada w czerwonych, ciemno-zie-

x redingot = jeździecki frak.

lonych i czarnych „redingotach", w białych bryczesach, w ułańskich mundurach - razem 100-120 koni.

„Tambur-major" podnosi laseczkę - kawalkada zamiera, a z odchłani lśniących trąb trębaczy płynie melodia marsza pułkowego.

Podjeżdża dowódca pułku. Ukłon, - znak od marszu i kawalkada w skupieniu rusza na start, który zawsze znajdował się o kilka kilometrów za koszarami.
Trębacze pułku na czele - grają odpowiednio rzuczyki czy mazurki.

Tak było i w dniu ochrzczonego grubo wrześniowego „biegu myśliwskiego" o nagrodę Pani W.

Państwo W. byli w tym czasie najbardziej zamożnymi właścicielami dóbr w okolicy Hrubieszowa i z pułkiem utrzymywali zażyłe stosunki.

Nagroda Pani W.! No to będzie chyba coś - co warto wygrać! - taka była ogólna opinia.

Najbardziej chyba biegiem tym przejęty był dowódca pułku - płk. Niementowski - spodziewał się przybycia „grubych ryb" cywilnych i wojskowych

Ja z Leszkiem - normalnie pułkowe biegi my-

śliwskie, z punktu widzenia sportowego traktowaliśmy jako imprezę łatwą „dla pitolajów", ale bardzo miłą - spojrzawszy na duży udział „amazonek" - dla nas i dla naszych koni - to przyjemny spacer, dlatego normalnie na pułkowy „bieg" nie używaliśmy swoich koni sportowych, a służbowe ofiarskie lub dobre ułańskie.

- Ale ten bieg? - trzeba wygrać!

Po tajnej naradzie z Leszkiem ustaliliśmy, że bieg ten musimy wygrać. Nagroda pani W. - musi być moja.

Muszę się ze skruchą przyznać, że ... Pani W.... jakby to powiedzieć? - trochę mi się podobała...

- Jak ty myślisz?... co ta „babka" da jako nagrodę?.. i Leszek zaczyna „czarować" - konia?... samochód?... złotą papierośnicę?...

Takie, i podobne przypuszczenia snuli i inni. Wszyscy byli zdania, nawet z dowództwa pułku, że będzie to... „bomba".

Nasz plan był oczywiście tajemnicą - moją i Leszka.

Postanowiliśmy tak: ja wezmę swego najlepszego do tego celu t.j. do tego rodzaju wyścigu konia - „Ataka", a Leszek pojedzie na własnym koniu i będzie mnie „zastawiał", lub „podpierał" innych.

Nie wiedziałem, że Leszek zaplanował jeszcze jedną sztuczkę, jak później wyszło na jaw - „towarzyską", ale o tym mnie nie powiedział.

Rano, w dniu biegu, podczas siodłania koni zauważyłem u Leszunia ukrytą pod kurtką „starodawną" trąbkę samochodową.

— Leszuniu, a po co ten „gramofon"?

— P.s.t.... Leszek znacząco położył palec na ustach.

Zrozumiałem, że planuje jakiś dodatkowy kawał.

Bieg ten ze względu na nagrodę i na osobę „fundatorki" obstawiony był bardzo licznie i mocno, amatorów nagrody... było więcej.

Do startu stanęło ponad 120 koni, w tym kilku oficerów sąsiednich: 24 p. uł. 21 p.uł. 12 p.uł. i 2 D.A.K'u i 9 D.A.K. - dobrych jeźdźców i na dobrych koniach.

Gdy zobaczono mnie nie na własnym koniu

114

str ~~350~~

a na „Ataku" - niektórym serce poszło w pięty.

Trasę „biegu" wybrał sam dowódca pułku, a przeszkody budowali zastępca ppłk. dypl. Sawicki, a kto będzie „lisem" - trzymano w tajemnicy. Trasa biegu o długości 14-15 km. przebiegała w bardzo różnym terenie, trzy razy przecinała rzekę „Uherkę" na dość głębokich brodach, i ze trzy razy wiodła na dość poważne wjazdy i zjazdy w górach i wąwozach, a do tego 25 przeszkód „fix" około 1.20 m. wysokości.

Finisz i moment decydujący gdzieś po trzecim przejechaniu „Uherky" - tego nikt z nas nie wiedział - tylko dca pułku.

Oprócz zawodników zjechało „tłok" gości kibiców z okolicy, z Chełma, Lublina, Włodzimierza i Warszawy - w tym dwóch generałów - dowódców brygad kawalerii.

Zbliża się godzina 10⁰⁰, wyprowadzamy konie na plac, - tu łapie mnie Henio (mjr Dzierzawski)

- Sławek! dobrze wiesz, że jedziesz na „Ataku", daj tym „pilotajom" w d... nagroda Pani K. musi być twoja!

- Mam najszczerszy zamiar tak zrobić pani majorze!

Henio uśmiechnął się „szelmosko", poklepał mnie po ramieniu.

Mastrem* pułkowego biegu - sam dowódca pułku, ale kto „lisem"?

Z wielką przyjemnością konstatuję fanatycznie cieszyłem się w pułku sympatią,... bo oto tuż przed wsiadaniem na koń, podchodzi do mnie kilka zdenerwowanych pań pułkowych z zaciśniętymi „piąstkami" i przerażone szepczą:

- Panie Sławku, co to będzie? - dowiedzieliśmy się, że „lisem" ma być kapitan Meliszkiewicz, a my wszyscy chcemy by pan wygrał ten bieg!

- Bądźcie panie spokojne - dziś... marsza pułkowego... zagrają mnie!

Sytuacja rzeczywiście ciężka, bo kapitan Meliszkiewicz z 27go Pułku Artylerii Lekkiej z Włodzimierza-Wołyńskiego, popularny „Lolek" był doskonałym jeźdźcem i miał dobre konie.

Sygnał. Wsiadamy na koń i grupujemy się na zbiórkę.

Laseczka „tambur majora" mignęła w powietrzu

* Master = prowadzący bieg.

wszyscy zamarli, - piękna melodia marsza pułkowego pofalowała w przestrzeń .... zaczyna się

Podgalopował pułk. Niementowski - dzisiejszy master. Krótka odprawa i master ogłasza:

- Lisem dzisiejszego biegu jest pan kapitan Meleszkiewicz - przepisy biegu - wiadome....

Z za budynków wyjechał „Lowka" ubrany w białe bryczesy i krótką czerwoną kamizelkę, a na lewym jego ramieniu .... trzepocze się - lisi ogon.
Lowka na najlepszym swoim koniu - cały jak z obrazka.

Master daje znak - ruszamy, do startu 6 km.
Na czele kawalkady - master z „lisem", za nimi pluton trębaczy i my.
Obok nas i za nami liczne pojazdy różnego rodzaju i kalibru - wiozą gości i kibiców.
Państwo W. eleganckim powozem w cztery dobre konie zaprzężone „olej", a obok furmanka na koźle lokaj w liberii.

Ja z Leszkiem, narazie na końcu, - „Atak" trochę się denerwuje, chce iść do przodu.

Na sam bieg obraliśmy taką tajną taktykę: - ja będę jechał zupełnie na końcu, aby mieć „czyste pole" przed przeszkodami t.j. dobry i bez tłoku najazd na przeszkody, a Leszek gdzieś w środku - takie ugrupowanie uśpi czujność współzawodników „grzecznych" - wyjadę naprzód dopiero po 23ej przeszkodzie, a Leszek dołączy do mnie.

Znaliśmy, jak i inni zawodnicy trasę biegu, z której wynikało, że „finisz" t.j. gonitwa właściwa za lisem nastąpi dopiero gdzieś po 25ej przeszkodzie - prawdopodobnie na dużym wygonie pod lasem, pomiędzy dwoma dużymi wzgórzami.

Trasy „lisa", który zacznie uciekać po sygnale mastra, - oczywiście nie znaliśmy, ale „lisem" - Lówka, mogą być różne niespodzianki.

Teren ten i ja i Leszek znaliśmy doskonale. A może Lówka będzie umykał przez jedną z gór? Po tym „zwariowanym artylerzyście" można było spodziewać się wszystkiego.

Jedna z tych gór była bardzo wysoka, stroma i trudna do wjazdu i zjazdu.

str. 354

Coś mnie tknęło, - Lowka pojedzie właśnie na tę górę, - konia ma dobrego. Mam jeszcze czas pogadać z Leszkiem i uzupełnić nasz plan - podjeżdżam do niego i cicho mówię:
- Słuchaj Leszunia, mnie się zdaje, że Lowka pojedzie na tą „parszywą" górę!
- To możliwe... i ja też tak myślę!
Zadumaliśmy się oboje. Ja, góry się nie boję, ale cała sztuka polegała w tym wypadku na tym, by nikt nie złapał Lowki - przed górą. Wszystko zależy od tego, w którym miejscu „master" puści bieg.

W tym miejscu muszę pokrótce wyjaśnić jak taki bieg wygląda:
bieg rozpoczyna się od startu, który znajduje się w pewnej odległości od pierwszej przeszkody, może to być i 200 i 1000 m. - pierwszy pędzi „lis", za nim i jego śladem „master", a za „mastrem" w odległości najmniej 50 m - kawalkada zawodników i wszyscy śladem „mastra".
Zawodnicy obowiązani są zachowywać ową 50 m odległość przez cały czas biegu, aż do czasu w którym „master" puszcza bieg, to jest daje umó-

wrony znak, - że teraz każdy może jechać jak chce i - łapać lisa.

Kawalkadę zamyka 2ch - 3ch „contr-mastrów" którzy jadą po bokach i z tyłu i pilnują czy każdy zawodnik jedzie śladem „mastra", czy nie omija przeszkód.

Znałem teren doskonale, - tu wiele razy trenowaliśmy swoje konie sportowe - układam plan: - jeśli po 25ej przeszkodzie „master" wyjedzie na wygon z południowej strony laska - znaczy to „pusić" bieg, a lis wyskoczy z lasku i napewno pogalopuje na „paskudną" górę.

Leszek zgodził się z moim rozumowaniem.

- Słuchaj Leszanu, ale Lowka, to rzeczywiście „stary lis" - on nie pojedzie odrazu wprost na górę, - ja myślę, że najpierw, zaraz po sygnale skieruje się na „bród" na Huczwie, a dopiero później skręci w lewo - na górę.

- Masz rację, - zatem robimy tak: - po sygnale mastra ja przyduszę swego „Kaktusa" i będę udawał, że za wszelką cenę chcę złapać „lisa" - wszyscy „pitołają" ową za mną, a tym odrowej

się od wszystkich i niezmacznie galopuj ku górze.... ale jeśli ta cholera „puszkarska" (Łaska) wymyśli coś innego?

– No to bieg przegramy i zamiast nagrody będzie g.... !

Za chwilę... start. Master zatrzymał kawalkadę, dał 5 minut do przygotowania się. Sygnał na trąbce „Hallali", bieg rusza.

Jadę dosłownie ostatni – Loszek w środku „Atak" – nie przyzwyczajony do „zamykania" – denerwuje się, silnie pociąga – rwie do przodu. Zajęty tym wszystkim zapomniałem o sygnałówce ukrytej pod kurtką Loszka.

Podjeżdżamy do pierwszego „brodu" – master skraca szybkość galopu, czoło kawalkady wygalopowuje już na drugi brzeg – w tym, po środku „brodu" w najgęstszym miejscu – rozdziera się rycząco trąbka samochodowej...

Tuu! Tuu! Tuu! diabelski ryk spada jak piorun z jasnego nieba.

Ani jeźdźcy, ani konie czegoś podobnego nie oczekiwali, – skutek fantastyczny: kilku „pilotaży" już udaje „marynarzy po awarii statku" – w tym kilka amazonek i groźny cywil z 24go pułku ułanów rotmistrz Staś Kański.

Mało brakowało... byłbym i ja w wodzie.

„Dobra nasza!..." abytak dalej. Teraz wygumkałem kawał Lesika.

Wystraszone konie „topielców" powyskakiwały na drugi brzeg i z zadartymi ogonami „poszły w pyzar", a „marynarze" ociekający wodą, klnąc.. z głupimi minami... wyłażą na brzeg.

Przejeżdżając koło klnącego rotmistrza Stacha Kańskiego zaśpiewałem mu aktualną piosenkę:

„Gdy zobaczysz ciotkę mą,...
To jej się.... kłaniaj!"

– Jedź, jedź, na zbity łeb! ty zarazo konnostrzelecka, – posłyszałem za sobą.

Co się działo w tym czasie z „mastrem", nie widziałem – pomnę tylko to, że pułkownika

122

str. ~~358~~

krew zalewała.

Swój niemy kawał, z podobnym skutkiem powtórzył Leszunio na trzecim przejeździe przez Kuczuś i aby zatrzeć ślady - utopił w niej trąbkę.

Teraz już dość zabawy, - zbliża się przeszkoda 23 cia. Narzucam „Ataka" i wygalopowuję na czoło — Leszek jest już przy mnie. Jeszcze dwie przeszkody...

W obu naszych gałgańskich łbach tkwi tylko jedna myśl... z której strony lasku wyjedzie „master"?

Dwie ostatnie przeszkody nasze „kantury" nie skosiły, a... przeleciały... jesteśmy na czele. Wbijamy wzrok w „mastra"... omal, że nie krzyknęliśmy.. hurrah — „master" kieruje się tak, że wyjedzie z południowej strony lasku...

Szczęście .. uśmiecha się... do nas!

— Leszek! - pilnuj lisa!

Galopujemy strzemię przy strzemieniu ... sku-

pieni, zawzięci i gotowi... na wszystko.
Wypadamy na wygon – „master" daje znak...
„Lis" wyskakuje z lasku i mknie... na bród,
Leszek rwie za nim... pociąga za sobą całą
kawalkadę... ja przytrzymuję „Ataka", galo-
puję przy końcu i z boku... pilnie obserwuję lisa.
Co u djabła? „lis" już blisko brodu???
Myślałam, że... „przechytrzyłam" – ale... nie!..,
tuż przed brodem „lis" gwałtownie skręca w
lewo... i mknie na górę... teraz mogę działać!
Energicznie naciskam „Ataka" – dał potężnego
szczupaka i galopuje, aż w uszach gwiżdże.
„Lis" zobaczył mnie, nacisnął swego rumaka,
tak, że przed górą dopędzić go nie mogłam...
Prawie jednocześnie wgalopowujemy na wjazd,
szybkość maleje, teraz już konie wdrapują się
pod górę... jadę na „ogonie" lisa, pilnuję każdy
jego ruch, wiem, że przy pierwszej dogodnej możli-
wości... umknie.
– Lowka!.. nie wysilaj się i tak cię złapię!

124

str. 360.

– Cały mnie w nos!... Zobaczymy? – odgryza się Lońka.... i w tym momencie robi ostry zakręt w prawo i naukos zjeżdża z góry. Była to chwila, ale „lis" oderwał się od mnie parę metrów,... które mogą mnie zgubić.

Błyskawicznie skręcam i „dzikimi" skokami /bo jedziemy już ze stromego skłonu góry/ dopędzam uciekiniera.

Taki „wolt" i dalsze skoki mógł wykonać tylko tak doskonały koń sportowy, jak „Atak".

Reszta kawalkady i kibice z zapartym tchem przypatrują się z wzgórza

„Lis" ucieka.... jego koń też dzikimi skokami toczy się na dół.

Raptem paskudna niespodzianka... przed nami zeskok.. i to dość wysoki i do tego drugi się to na skłonie i na połowie góry.

Koń Lońka na mgnienie zawahał się, przysiadł na zadzie i to.... stało się zgubą „lisa".

Atak dostał silną ostrogę - runął do przodu... teraz oba konie razem wykonują zeskok.

Dostownie w locie zerwałem z ramienia Łowki lisa (lisi ogon)..., „maładiec" krzyknął „Lis".

Jak zjechaliśmy na dół!.. nie pamiętam, spotkał nas marsz pułkowy i huragan oklasków.

— Brawo Sławek!... brawo, brawo...

— Panie Sławku! świetnie... i t.p.

Podjeżdża zzijany „lis": -

— Dawaj pyska!... ty stary chytrusie! i Łowka pochylając się na koniu, mocno mnie uściskał.

— A kto to trąbił podczas biegu? Podobno ośmiu zawodników zażyło zimnej kąpieli?

— A skąd ja mogę wiedzieć? Zadowolony jestem, że sam „nie wysiadłam".

Łowka jakoś szelmowsko się uśmiechnął i pogroził mi palcem.

Teraz rozpoczęła się część druga imprezy: wręczenie nagrody, i „bigos z krupnikiem".

Oddajemy konie luzakom. Zbieramy się w lasku

126 str 362

w którym około suto zastawionych stołów, trębacze „rżną od ucha".
Gratulacjom, uściskom ... niema końca.
Łapie mnie adjutant pułku por. kaw. Chomański... jest zaaferowany:
– Sławek! czy nie wiesz kto to trąbił? – pułkownik zły jak cholera... kazał ustalić, kto to trąbił.!
– Ja... niewiem, ale czy to aż takie straszne wydarzenie? Pewno jakiś szaweł!
– Pewno że nic! ale rozumiesz wykąpała się ta pani... ta ładna taka – z Warszawy. Jest to żona jakiegoś „dygnitarza" i jest gościem państwa Niemontowskich
– No to wielka sztuka! Będzie miała więcej wrażeń i więcej do opowiadania w Warszawie,... a gdzie ona jest?
– Pojechała się przebrać do koszar – czekamy! a.a.a. słuchaj... czy to czasem ... nie Loszek?
– Napewno.. nic! Jeśliby to miał zrobić

Dosłownie w locie zerwałem z ramienia Lonki ... lesa.

Leszek...... to ja bym wiedział!
Adjutant nie znalazł odpowiedzi - roześmiał się i poszedł szukać winowajcy.

Szukam Leszka, ale w tej chwili usłyszałem sygnał „zbiórka".

Zbierają się wszyscy na skraju lasku w pobliżu stołów - gwar, szum, opowiadania - każdy dzieli się wrażeniami z biegu. Koledzy ściskają mnie, gratulują...
- ta cholera... zawsze ma szczęście, ale co wygrał?

Zbliża się chwila wręczenia nagrody, zaciekawienie wzrasta, a tu nie widać ani... konia, ani samochodu..... pewno.. złota papierośnica!

Nie mogę spotkać Leszka - gdzieś się podział?
Sygnał na trąbce - „uwaga!" i głos przez megafon:
- Pan porucznik S. proszony do odebrania nagrody!

Teraz, wszyscy razem, i „kibice" i zawodnicy „topielce" zebrali się koło państwa W.
Podchodzę - na pierwszym miejscu stoją oboje państwo W.

str. 364

a za nimi jak „mumia egipska" z tacą w ręku, w szykownej liberii – lokaj.
Obok nich obaj generałowie i inni pułkownicy i ogólnie „grube ryby".
Spotkałem wzrok dowódcy pułku ... wzrokiem .. nic dobrego nie wróżył – oczy mówiły: – poczekaj, poczekaj.... ja ci później pokażę....
Trębacze zagrali tusz. Pani W. wyciąga rękę:
– Serdecznie panu gratuluję, to było piękne!
Zasalutowałem, zdjąłem furażerkę i złożyłem uroczysty pocałunek na ładnej uperfumowanej rączce.
– I ja panu serdecznie gratuluję, to była „arcysztuka" – proszę przyjąć skromny upominek!, i pan W. wziął z tacy trzymanej przez lokaja jakiś mały przedmiocik i podał go mnie.
Uścisk dłoni, jeszcze marsz pułkowy i ogólne hurraa!
Teraz zabiera głos gospodarz – dowódca pułku:
– W imieniu swoim i zebranych tu gości gra-

tuluję panu porucznikowi S. pięknego sukcesu, tym samym zdobycia pięknej nagrody państwa W. pod znakiem których odbył się dzisiejszy bieg myśliwski św. Huberta.

– Jednocześnie przepraszam za wypadki podczas biegu, które są dla mnie nie zrozumiałe, nader przykre, ... a zatem ... „niech żyje zwycięzca”!

Znów marsz pułkowy i znów brawa!
Po chwili zabiera głos generał:

– Ja również gratuluję zwycięzcy – zrobił to pięknie, ... a „przykre wypadki” nad którymi tak boleje pan pułkownik Niementowski .... nie uważam za .... tak bardzo przykre – zrobił to ktoś bardzo dowcipny, a jeźdźcy ‚ ... jeśli chcą brać udział w biegu myśliwskim .... niech mocno siedzą w siodle.

Oklaski, wesoła gwara.... część oficjalna zakończona - teraz... „bigos i krupnik" - specjalność wachmistrza Hadrysia

- Co wygrałeś? co wygrałeś? naciskają na mnie koledzy.

Sam jeszcze nie widziałem, co mam w kieszeni. Sądząc po opakowaniu i wielkości - pewno papierośnica ... no i pewno!... złota!

- Ciekawość prowadzi do piekła! odpowiadałem z nosem... do góry.

- Ale pułkownik zły z powodu tej trąbki - kto to mógł zrobić? - słyszę tu i tam, a Leszurnia nie widzę.

Pierwszy kieliszek „krupniku" - oczywiście za powodzenie zwycięzcy - sto lat! sto lat!

W trakcie uroczystości bigosowej" podchodzi do mnie pułkownik i niby przyjemnie rozmawia, a do mnie „syczy":

- Kto to mógł zrobić?... nie wiesz?

- Nie wiem panie pułkowniku! odpowiadam z

miną jagniątka.

– To pewno Jurkowski?

– Napewno nie, panie pułkowniku, to zrobił ktoś, kto jechał... samochodem!

– Głupi jesteś, i pułkownik rzuciwszy na mnie „piorunami" – poszedł do gości.

Źle, myślę sobie. Pułkownik jest przekonany, że zrobił to Leszek, a ja o tem wiedziałem – może być „draka".

Idę szukać Leszka, by go uprzedzić. Znajduję go przy jednym ze stołów ze szklanką „krupniku" w ręku, z rozradowaną gębą, rozsypującego się „drobnym maku" przed ową piękną panią, gościem państwa Niemontowskich, która pierwsza spadła do wody przez tego „drania.

– A.a.a Sławek, – pokaż „pitolaju" coś wygrałeś? Trzeba rzeczywiście naprzeciw zobaczyć!

Wyjmuję pudełko, – zbiera się koło mnie kilka osób. Rozwijam pakunek, ale naumyślnie bardzo powoli, otwieram... papierośnica.... ale srebrna – taka, jaką daje się na konkursy w skokach przez przeszkody. dla jeźdźców .... lekko zaawansowanych.

Trzeba było widzieć miny zebranych koło mnie. Leszek wziął paparośnicę do ręki - długo ją oglądał i wreszcie wypalił:

- Za takie g... nie warto było trąbić!

Piękna pani nie zorjętowała się, że właściwie Leszek już się wydał. Pozostałem w ich towarzystwie.

Piękna pani zaczęła mnie męczyć - kto to trąbił? Nie była mało zażenowana, odmówiono - podobało się jej to, ale koniecznie domagała się ujawnienia winowajcy.

Podszedł do nas drugi „topielec" rotmistrz Stach K.;

- Co to za drań trąbił? Otóż proszę kąpiel temu kto to zrobił... skuję mordę!

Z uśmiechem popatrzyliśmy z Leszkiem na siebie.

- A ty nie bądź taki dowcipny! - pokazując na mnie, - ja po pas w wodzie, a ta „cholera" jeszcze się śmieje i „jak zwarzysz cioteczną" śpiewa!

– Ja się jednak dowiem kto to zrobił! – i piękna pani, stuka kieliszkiem ... prosząco głos.

Przy stołach zapanowała cisza, wzrok wszystkich skierował się ku nam.

– Proszę państwa! w imieniu „topielców" dzisiejszego pięknego biegu ... oświadczam: kawał z trąbką był doskonały, a że paru z nas zażyło zimnej kąpieli, to ... nasza wina ... pan generał słusznie powiedział: – trzeba dobrze siedzieć w siodle.

– Pan pułkownik niepotrzebnie się denerwuje – my sami wymierzymy karę winowajcy. Wzywam do publicznego przyznania się. Temu, kto to zrobił grozi taka kara: – jeśli zrobił to mężczyzna ..... będzie dziś wieczorem na balu tańczył przez cały czas ... tylko ze mną, a ... – nie dokończyła ...

– Z dziką rozkoszą! krzyknął na całe gardło Loszek.

– Drania kawał! powiedział pułkownik.

– Drania kawał! wyszeptała pani Hania (żona Losia)

– Drania kawał! zagrzmiał rotmistrz Siach K.

— " —

Krótkie spięcie.

Dosyć wygodnego życia w garnizonie – trzeba trochę powojować – a zatem manewry.

Pułki kawalerii opuszczały koszary ok. poz-nie w sierpniu i na pół września udając się w różne, przewidziane planem rejony Kraju.

Cały pułk, t.z. szeregowcy, podoficerowie i oficerowie – lubił manewry, gdyż była to rozmaitość, przygody, wrażenia.

Pod koniec sierpnia Brygada nasza – ówczas 17-ta Brygada Kawalerii w skład której wchodziły: 24 pułk Ułanów i 2gi pułk strz. konnych, zakończyła „małe manewry" w ramach pułku i brygady i przygotowywała się do „dużych manewrów", które miały charakter ćwiczeń ruchomych w składzie kilku wielkich jednostek W.P.

Trzy dni wypoczynku wykorzystaliśmy należycie.

Poczta „pantoflowa" przyniosła wiadomość,

że nasza Brygada wzmocniona jeszcze jednym pułkiem kawalerii i kilka batalionami nowoczesnej „szybkobieżnej piechoty" weźmie udział w drugich manewrach na Wileńszczyźnie i to przeciw zgrupowaniu kawalerii generała Andersa.

Będzie „draka", gdyż gen. Anders uchodził za „silnego" generała kawalerii.

Kończy się trzeci dzień odpoczynku - pogotowie marszowe od godz. 18-ej.

Stałem na kwaterze u gospodarza, który miał dwie bardzo miłe i ładne córeczki, a tu.... trzeba wyjeżdżać, - bo jak mówi piosenka:

„Taki los wypadł nam,
Że dziś tu, a jutro...tam!"

Siedzę w ogródku pod gruszką, czy jabłonką i flirtuję z Hanią i Wiką...., a może mój szwadron zostanie tu jeszcze ze dwa dni?

Zostanie.... marzenie „ściętej głowy" - bo oto galopuje goniec ze sztabu pułku:

- Meldunek do dowódcy szwadronu!!!
- Dawaj tutaj! - podchodzę do bramy.

– Meldunek z wozu!, panie poruczniku.

– To gadaj!

– Z rozkazu adjutanta pułku ma pan porucznik natychmiast zameldować się w sztabie pułku.

– Dobrze!, możesz odjechać!

Wikcia, a szczególnie Hania zrobiły smutne minki....

– To naprawdę.... pan już jedzie?

– Jak moje miłe dziewczątka... szkoda.... ale taka już dola wojaka.

Luzak podprowadził konia – jadę.

W sztabie pułku spotyka mnie adjutant, oczywiście Leszek Jurkowski (ten od trąbki).

– Jedziesz jako podjazd, zamelduj się u ppłk. Sawickiego – na czas manewrów on będzie dowodził pułkiem, a nasz „stary" – brygadą.

– A a a już jesteś? – ukazał się w drzwiach ppłk. Sawicki, – no chodź do mnie!

– Siadaj i słuchaj!

– Ja..., dowodzę pułkiem, a płk. Numentowski brygadą, a nasz dowódca Brygady (płk. Kulesza) na czas ćwiczeń został głównym rozjemcą, a ty

wiesz .... co to znaczy?

– Działamy przeciw zgrupowaniu kawalerii gen. Andersa ... wiesz i co to ... znaczy? Jutro na godz. 4. na stacji Rawa Ruska będzie podstawiony pociąg. Już o 4ᵗᵉʲ musisz zacząć ładowanie. Dokąd cię powiozą i ja jeszcze nie wiem – dalsze rozkazy otrzymasz od rejonowej. Twój szwadron zostanie wzmocniony dwoma plutonami C.K.M. Jak z ogólnego rozkazu wynika będziesz tam „gdzieś" działał jako podjazd na korzyść naszej Brygady .... uważaj tylko, ... bo głównym wrogiem jest, jak ci mówiłem ... nasz dowódca brygady!.. pułkownik przymrużył lekko oko....

– W uposażenie:– amunicji, paszy, żywności, na dwa dni, a potem tam „gdzieś" dołączy nasz pułk. Co jeszcze?

– Nic, panie pułkowniku, wszystko jasne! – odmeldowałem.

Z mego miejsca postoju do Rawy Ruskiej 25-26 km. mam tam być na 4ᵗᵉʲ rano, znaczy wyruszyć mogę o 0.30, dobrze .... mam jeszcze trochę czasu dla Pani.

Dwadzieścia przed 4ᵗᵉʲ byłem już ze swoim „wzmocnionym" szwadronem na stacji Rawa Ruska, gdzie zastałem cały sztab rejonowej na czele z pułkownikiem

konnej artylerii Kopańskim (Generał w II wojnie światowej – bohater szlaków wojennych w Afryce)
Pułkownik znał mnie dobrze jeszcze z wojny 1918–1920, bardzo mnie lubił i cenił, zawsze nazywał mnie „Jarema” – jeszcze po kubańsku.

– Panie pułkowniku! melduję się posłusznie jako dowódca szwadronu wydzielonego 17. B.K.

– Świetnie! cieszę się, że to ty; będziesz miał bardzo ciekawe zadanie – jakie, dowiesz się z rozkazu na stacji wyładunkowej.

– Kapitanie! niech pan da porucznikowi kopertę z rozkazem dla niego.

Jakiś nieznajomy kapitan wręcza mi zalakowaną kopertę, otwieram … czytam.

„Ładowanie do wagonów na st. kol. Rawa Ruska – godz. 4^{45}” – nic więcej.

Pułkownik Kopański odprowadza mnie na bok i mówi (cichutko):

– Wszystkie twoje czynności będą teraz pilnie obserwowane i notowane przez tych oto panów z białymi opaskami, (rozjemcy) zatem … uważaj. Te manewry mają bardzo ostry charakter … pogadamy jeszcze podczas podróży – my jedziemy tym samym pociągiem.

Miałem dość czasu, by należycie przygotować szwadron do ładowania.
Szwadron był doskonale wyszkolony, obsada oficerska i podoficerska - nie pozostawiała nic do życzenia.

Kilka minut przed 4^{45} cały pociąg obstawili „rozjemcy" - milcząca straż honorowa - żaden nic nie mówił, tylko operował zegarkiem i ołówkiem.

O godzinie 4^{45} dałem rozkaz - ładować.
Na kilka minut przed przewidzianym przepisami czasem ładowania - miałem szwadron w wagonach. Składam meldunek płk. Kopańskiemu:-

— Szwadron załadowany!

- Świetnie! tylko tak dalej! - pułkownik coś zapisał do notesu.

Dosłownie w 3 minuty po moim meldunku zjawił się zawiadowca stacji i oświadczył:

- Za pięć minut eszelon* rusza!

Według przepisów, w takich eszelonach przewidziany wagon osobowy dla oficerów - był wagon 2 klasy /do 1939 były trzy klasy wagonów/

Zgodnie z zapowiedzią ruszamy punktualnie, ale

eszelon = osobny pociąg z wojskiem

dokąd jedziemy - nic wiadomo. Ani płk. Kopański, ani zawiadowca stacji nie powiedzieli (tajemnica wojenna) - stale naprzód... i to wszystko.

Pół wagonu oficerskiego zajmowali rozjemcy - podróż stała się wesołą i przyjemną.

Około godziny 24-ej eszelon zatrzymał się. Spaliśmy ubrani. Obudziłem się, pociąg stoi, ale za oknami wagonu - ciemno. Pewnie stoimy w polu, lub na jakiejś małej stacyjce.
Na połowie wagonu rozjemców słyszę ruch i rozmowy.

Oho! - tu coś będzie! Szybko wkładam oporządzenie polowe - w tym słyszę głos:

- Dowódca szwadronu... do pana pułkownika - głównego rozjemcy. Wchodzę do połowy wagonu rozjemców, - są tam już jacyś nowi oficerowie i ... przecieram oczy... mój dowódca Brygady płk. Kulesza, który teraz występuje jako „główny rozjemca" - melduję się:

- Co?.. wszystko śpi u pana?

- Tak jest panie pułkowniku! - noc i pociąg w ruchu!

– Gdzie pan się teraz znajduje?

– W pociągu panie pułkowniku!

Widzę, że zaczął się denerwować.

– Na jakiej stacji?

– Tego niewiem, – jeszcze nie wychodziłem z wagonu.

– No to niech pan zobaczy!

Wyszedłem. Ciemno, budynek stacyjny daleko – napisu nie widać... słyszę kroki.

– Kto to?

– Podoficer dyżurny – plutonowy K.

– Dobra, jaka to stacja?

– Czeremcha, – panie porucznyku!

– Słuchaj Bronek (imię plutonowego) – budź pocichu, ale szybko żołnierzy i szykujcie się do wyładowania... rozumiesz?

Wracam, melduję: – Czeremcha – panie pułkowniku.

– Majorze, proszę dać porucznikowi kopertę.

Jakiś major sztabu generalnego wręcza mi duża zalakowaną kopertę z napisem:

„ dowódca eszelonu N1. otworzyć na stacji Czeremcha "

„ pokwitować z podaniem daty i godziny."

Otwieram kopertę - czytam... dookoła mnie cały sztab rozjemców z ołówkami i notesami W skrócie - treść rozkazu następująca:

1. my - strona niebieska, przeciwnik - biała,
2. rozpoznać kierunek X na którym działa kawaleria białych,
3. uchwycić most na rzece „Sienna" - do godz. 12ej, utrzymać go do czasu przybycia własnego pułku, który eszelonami nadchodzi do stacji Czeremcha.
4. meldunki - od godziny 3ej - stacja Czeremcha, a później po drodze: - most na rz. Sienna - stacja Czeremcha.
5. kawaleria białych może ukazać się na moście lub w pobliżu około godz. 5ej.

Załączniki: mapy rejonu działania.

Jeszcze nie skończyłem czytać, jak główny rozjemca płk. Kulesza - zapytuje:

- Co pan robi poruczniku!

- Kończę czytać rozkaz, panie pułkowniku!

Zacisnął zęby, ale zamilkł, a płk. Kopański znacząco, z uśmiechem kiwnął w moim kierunku głową.

– Skończyłem panie pułkowniku!

– Decyzja?

– Natychmiast wyładować szwadron!

– No tak, ale co dalej?

– Jeszcze nie wiem – podczas gdy szwadron będzie się wyładowywał, zobaczę mapę i wówczas powezmę decyzję.

Pułkownik znów zacisnął zęby, ale już nic nie powiedział, a płk. Koparski i teraz szelmowsko mrugnął.

Szwadron wyładował się „pokazowo" i to w nocy przy zachowaniu O.P.L.

Ja... przestudiowałem mapę: – ten cholerny most znajdował się w odległości aż 30 km. od st. Czeremcha – biedne konie, będą miały za swoje... mój zastępca zameldował:

– Szwadron wyładowany!

Słyszałem jak jeden z rozjemców mówił do drugiego: „ależ te ułany wyrzucali konie z wagonu jak piłki".

Zarządziłem wysłanie trzech patroli, a sam idę do głównego rozjemcy

– Gotów, panie pułkowniku!

– Pańska decyzja? rzucił krótko z namarszczoną brwią.

– Jak najszybciej uchwycić most na rz. „Siennna", potem rozpoznawać kierunki X. i Y.

– Wykonanie?

– Wysyłam 3 patrole na kierunki X. Y. C. Swój marsz ubezpieczam plutonem szpicy, meldunki do stacji Czeremcha… most uchwycę przed godz. 5.

– Co pan przewiduje?

– …. Myślę, że kawaleria białych zechce zrobić to co i ja – uchwycić most – panie pułkowniku.

– Może pan wykonywać!

Ruszyłem, marsz dość trudny, gdyż przez noc, a mój kierunek marszu niestety prowadzi właściwie po „bezdrożach białoruskich."

Czuję się lekko „podminowany". – mam ciekawe zadanie… niebezpieczne – gdyż przeciw mnie działa kawaleria gen. Andersa.

Z praktyki wiem, że pułki pod dowództwem tego generała – działają sprężyście.

Wierzę też i w swoje siły, .. ale kto wie?

Byłoby wszystko dobrze gdyby nie mój „reżimów", który z ostro zatemperowanym ołówkami, jak komary

obsiedli mój szwadron - jadą samochodami przede mną, obok mnie i za mną.
W drodze zauważyłem dwa nowe samochody w których błysnęły generalskie czapki.

Noc, leniwie zamienia się w poranek, a poranek, - w piękny sierpniowy dzień.

A tam... w chatce... pod Rawą Ruską napewno budzi się już... Hania,... senna, rozgrzana.... psia krew!...

Do tej pory nie ma żadnych meldunków od moich patroli, mam szanse uchwycenia mostu, - byle nie przeszkadzał główny rozjemca płk. K. mój dowódca brygady i.... taka cholera.

Rozwidnia się. Słońce dobrotliwie muska końskie „bułki" i nasze zakurzone twarze.
Zatrzymuję szwadron na chwilowy odpoczynek - z koni bucha para, szkoda nie mam „kantówki", ale tu żartów nie ma.
- Wolno palić, - 10 minut postoju!
Nad szwadronem odrazu ukazała się „zasłona dymna" - to parują konie. Do mnie podchodzi płk. Kopański i cicho mówi:-
- Jarema! działasz doskonale, aby tak dalej;

uważaj - bo przyjechał gen. Skotnicki i gen. Osiński - no i ten... twój brygadjer! ...

- "W wypadku nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem i dojścia do walki pieszej - uważaj na wymierzanie C.K.M.'ów - wiesz, że to teraz w „modzie" u nas.

Dziesięć minut „minęły"... maszeruję dalej. Mijam wieś, właściwie wioseczkę Skorochody - jeszcze 5 km. i... sławetny most. Teraz „roje muszy" obsiedli mnie jak osy. Główny rojowiec jedzie tuż koło mnie.

Od czoła, od mojej szpicy tentent galopu konia..

... a ha!... pierwszy meldunek.

- Panie poruczniku! goniec leci! słyszę głos dowódcy pocztu - wachmistrza Kozieła, i od przodu:

- Goniec do dowódcy Szwadronu!!!

Znaczkowy podnosi „znaczek szwadronowy" na lancy. (aby goniec zobaczył gdzie dowódca)

Na spienionym koniu podgalopowuje goniec od mego patrolu czołowego, zawraca konia i oddaje meldunek.

Nie zatrzymując się czytam... główny rez-

jeńca już przy mnie – samochodem swoim oiwa się obok mego konia...

Treść meldunku:

„Kawaleria npla w sile plutonu w rejonie wsi Y, patrole 1+5 w rejonie kolonii X. Obserwuje dalej. Godzina ... data...

podpis – kapral G. dca patrolu.

– Jakie wiadomości porucznika? – prawie stojąc w samochodzie – krzyczy Główny Rozjemca.
Widzę, że i obaj generałowie jadą też przy mnie.
– Zaraz panie pułkowniku, odwracam się do patrolu
– Koszel (dca poczty) rżnij galopem do szpiczniech porucznik G. idzie galopem na most, – niech przejdzie na tamtą stronę rzeki i tam zajmie stanowisko obronne – ja szybko nadążę!

Doskonały podoficer wachmistrz Koszel ruszył galopem „z kopyta", że aż obsypał ziemią z pod kopyt konia – samochody naczelstwa

– Czekam porucznika!!!
Nachylam się do samochodu i nie przerywając marszu przekazuję treść meldunku.

— Jaka pańska decyzja?
— Zobaczę na miejscu ... panie pułkowniku!
— Ja byłem . . .
Nie słuchałem już dalej, — daję znak „galopem" i „dca C.K.M. do mnie", — cały szwadron rusza galopem ... okrążając ciężką zasłoną kurzu samochody generałów i oficerów.

Mimochodem zauważyłem uśmiechniętą twarz generała Skotnickiego, który z aprobatą pomachał mi ręką.

Podjeżdżam do mostu — przed nim kilka chatek i zabudowań gospodarczych. Za mostem, na dalekim przedpolu rzadka strzelanina i cofający się mój patrol ogniowy.

Zatrzymałem szwadron, „spieszyłem się",[x] a sam z dowódcą C.K.M.'ów biegnę na dogodny punkt, by zorjentować się w terenie i postanowić jak działać dalej. Rzuciłem okiem na przedpole — moja pozycja dobra, mój brzeg rzeki wyższy i lekko porośnięty krzakami, śród których kilka zabudowań — przeciwny brzeg położony niżej i otwarty.... na horyzoncie słaby ruch kawalerii

x spieszyłem się = zsiadł[e]m szwadron z koni.

ńpią i narazie tylko patrole.... sytuacja korzystna dla mnie..... decyzja była gotowa!
C.K.M'y postawię tu, a sam ze szwadronem zajmę przysiółek po tamtej stronie mostu, aż do czasu wyjaśnienia dalszej sytuacji.
Wydałem odpowiednie rozkazy dcy C.K.M., a sam idę do szwadronu z którym biegiem pierwo przeskakujemy most.
„ Rozjemcy jak stado szakali obsiedli szwadron.
Zajmuję bardzo dogodny przysiółek.
– Gdzie pan ma C.K.M'y? pyta groźnie Główny Rozjemca.
– Przed mostem panie pułkowniku, ich dowódca ma zadanie zamknąć ogniem przedpole po mojej stronie i specjalnie kierunki – wskazuję ręką.
– No dobrze! – idziemy do C.K.M'ów!
A szlak by cię trafił! myślę sobie, ja muszę być tu, gdyż strzelanina coraz bliżej i gęściej, a on mnie ciągnie do C.K.M'ów, – ale iść muszę, – za nami dwaj generałowie i tłum rozjemców.
Jak dowódca plutonu C.K.M ustawił swoje karabiny nie widziałem jeszcze, ale był to doskonały oficer

i „spec" od karabinów maszynowych – napewno dobrze i napewno lepiej niż bym to zrobił ja – ustawił maszynki (moja specjalność zawodowa liniowy) – no ale ja byłem słowacka całości.

Podchodzimy do stanowisk C.K.M. – oceniam, że kolega zrobił to doskonale.

Melduje Głównemu rozjemcy wszystko, – no o tych stanowiskach można zameldować.

Główny rozjemca, jak rozjemcy zwiewa lata od C.K.M'u do C.K.M'u, – przysiada, klęka, i robi minę znawcy – wreszcie zagrzmiał:

– Co to jest panie porucznika?

– Stanowiska C.K.M. panie pułkowniku!

– To o o! s.t.a.n.o.w.i.s.k.a C.K.M.! – ja się pytam pana... co to jest?

– Stanowiska C.K.M. – panie pułkowniku!

Byłem już zły. Generałowie i rozjemcy lekko się uśmiechają, i raptem:

– To jest... gówno – panie poruczniku!

Chwila ciszy i ponowny ryk:

– Co to jest, pytam porucznika!

– To jest.. gówno, panie pułkowniku!

..... Popatrzył na mnie tak, jakby przed nim sto djabłów z widłami stanęło... coś chciał powiedzieć..... nic powiedział nie, błyskawicznie się odwrócił i poszedł.

Patrz... u rozjemców głupie miny, ale się uśmiechają, a generał Skotnicki wprost się śmieje.

Nieco przerażony tym - co się stało, stałem przez chwilę... zakłopotany.

— Niech pan sobie nic nie przeszkadza poruczniku! życzliwie i z uśmiechem powiedział gen. Skotnicki, - tam... dobrze już strzelają.

- Już „tam" idą panie Generale!

Dalsze działanie poszło mi doskonale, przeprawę przez most utrzymałem do godziny 11ej t.j. do czasu przybycia pułku, który w kilka godzin po mnie wyładował się na stacji Czeremcha.

Gdy składałem meldunek sytuacyjny dowódcy pułku - ppłk. dypl. Sawickiemu, podszedł do nas generał Skotnicki.

— To, że może pan, panie pułkowniku pomyślnie wykonać teraz swoje zadanie ..... zasługa porucznika, - wskazał na mnie, - działał doskonale.

-x-

Do końca tych ćwiczeń, które trwały jeszcze 5 dni

boz prorwy - głównego rozejmcy nie widziałem, natomiast pułkownik Koparski był zachwycony.

– Co to jest ???- powtarzał stale i śmiał się.

– Panu pułkownikowi dobrze się śmiać, ale ja... to przecież mój dowódca Brygady

– Bądź dobrej myśli; dobrze, że był przy tym generał Skotnicki.

Wieści o tym „krótkim spięciu" rozniosły się szybko w pułkach i ożywiście urosły do rozmiarów bohaterstwa.

Najbardziej poruszony był mój właściwy dowódca pułku - płk. Niemontowski, którego spotkałem w międzyczasie. Dobrze, że był on w akcji, dlatego nie miał czasu na dłuższą rozmowę ze mną.

– Coś ty narobił chłopcze? krzyknął do mnie w przejeździe.

Radosna melodia - „odtrąbiono" - rozpowiadał po zmęczonych pułkach - koniec ćwiczeń.

Okazało się, że można pokonać i gen. Andersa - nasza strona wygrała.

Podczas omówienia ćwiczeń generał Skotnicki kilka razy pochwalił właśnie moje działanie,

jako podjazdu w akcji początkowej ćwiczeń.
W pewnym momencie powiedział dosłownie tak:
„podjazd z Brygady płk. Niementowskiego działający na rzece Sienna pod dowództwem porucznika S. działał wzorowo".
„Jego działanie miało bardzo duży wpływ na dalszy przebieg ćwiczeń i powodzenie Brygady – udzielam porucznikowi S pochwały z zapisaniem do akt personalnych".

–"–

Na marginesie tego fragmentu wspomnieć dodaję: – generał Skotnicki i pułkownik K. obaj pochodzili z „siodemki" Legionowej Beliny, ale podobno się nie lubili.

Nie wiem, czy działanie moje było doskonałe, czy generał „odkuł" się na pułkowniku – mam wrażenie, że jedno i drugie. Niektórzy mówili, w tym i płk. Kopański, że oprócz dobrego rzeczywiście dowodzenia, zaimponowała generałowi „moja postawa" wobec szykan pułkownika.
W każdym razie – skutków tej „postawy" nie poniosłem żadnych – „krótkie spięcie" – przeminęło z wiatrem.

Co może - „malutki ratlerek”

Ziemia Lubelska i jej stolica Lublin, przed rokiem 1939 była „oazą” końską. Ziemianie lubelscy hodowali doskonałe konie wogóle, a specjalnie - konie typu wierzchowego i sportowego.

Samo miasto, t.j. mieszkańcy Lublina byli zapalonymi „kibicami” wyścigów konnych i sportu konnego. Dlatego tradycyjne, doroczne wielkie zawody konne w Lublinie miały swój specjalny charakter, na które ściągały najlepsze ekipy wojskowe i cywilne z całej Polski.

Najciekawszym i najpoważniejszym był konkurs w skokach przez przeszkody o nagrodę Prezydenta m. Lublina - nagrody pieniężne i honorowe - każda wartości ponad 1000 zł. -

W roku 1934 tym ekipa sportu konnego naszego pułku - stała na bardzo wysokim poziomie - instruktorem grupy był major Henio Dobrzański (Hubal).

Nasz dowódca pułku - płk. Niemontowski i my

jeźdźcy ekipy postanowiliśmy w tym roku zdobyć tę nagrodę — za wszelką cenę.

Do ekipy należeli: rtm. Leszek Jurkowski, por. Tadzio Gierasiński i ja - grupa „weteranów" i kilku młodszych kolegów.

Zawdzięczając temu, że pułk miał krytą ujeżdżalnię, ekipa intensywnie pracowała przez całą zimę, a Henio Dobrzański nie żałował nas, ani koni, - tak że na sezon byliśmy - my i konie przygotowani - „na medal."

— Niech wam nawet z tyłka krew tryska - mnie to nic nie obchodzi, a jeździć musicie jak „szatany" - mówił i dawał nam w „kość" ile wlazło.

— Albo wygracie nagrodę Prezydenta Lublina, albo pójdziecie - „krowy paść", lub i

— Tylko nie wygrajcie „Pilotaże"! - w parafii szukajcie posady ... organistów! - tak stale pokrzykiwał do nas Henio.

Zbliża się lipiec 1934, - dnie zawodów konnych w Lublinie już „na nosie". Nadeszły propozycje - konkurs o „Nagrodę Prezydenta m. Lublina" - utrudniony, - wysokość przeszkód ok. 1,60 m. i zamiast 14-tu

przeszkód - teraz 16.

Henio przewracał propozycję w ręku, patrzył na organizatorów, wreszcie rzekł:

- Ja im pokażę co moi „Pitolaje" mogą.

Zapisaliśmy do tego konkursu - 3 konie:

Leszek Jarkowski - na wał. Wampir,

Tadzio Gierasieński - " -

Ja - " - na wał. „Nie-ci-do-tego".

Jeden z nas musi wygrać. Najbardziej liczyliśmy na Leszka i jego doskonałego skoczka „Wampira". Koń ten był synem „Rittmeistra" współbratem słynnej „Warszawianki" porucznika Michała Gutowskiego.

Stawiano także na mnie i na „Nicę". - Tadzio miał najsłabszego w tej klasie konia, ale był również bardzo poważnym zawodnikiem.

Żyjemy wszyscy w pułku pod znakiem zawodów konnych w Lublinie. Na te zawody jadą ^Lublin^ prawie wszyscy z pułku.

Jaka tylko będzie w tym roku konkurencja?

Nadszedł czas, - jesteśmy w Lublinie, siedzimy w kawiarni Rutkowskiego, czekamy

na Henia, ma On przynieść program zawodów, który jeszcze nie ukazał się oficjalnie, chcemy czym prędzej wiedzieć ile koni startuje i kto z „asów" bierze udział.

Nareszcie przychodzi Henio.

— No, „Pilotaże", nie mamy tu czego szukać... pakujcie „manatki" i hajda do domu... popatrzcie,... rzuca na stolik program.

Niech to djabli wezmą! - zapisano 76 koni... niedobrze. Teraz... kto jedzie? Przeglądamy program. Miny nasze rzedną, - bo kto w programie stoi „jak byk":

rtm. Stryjałkowski, por. Janusz Komorowski, por. Antoni Żelewski, por. Kiedacz, por. Sobański, por. Kawecki, kpt. Nerlich-Dembiński, por. Skulicz, mjr. Lewicki - jeźdźcy cywilni: - Wittenhagen, Woyszko-Ławrski... dosyć starzy... inni nie wchodzili w rachubę, ale kto wie... przecież oprócz nas trzech. Jeszcze 73!

— I co, „Pilotaże"? Jazda bieliznę zmieniać! - śmieje się Henio.

— Panie Starszy! tym... do panom „komarzyka"... a mnie... „sztabowego"!

Długo jeszcze siedzieliśmy u Ruttkowskiego medytując – nie zwracaliśmy nawet uwagi na przychodzące i wychodzące - do i z kawiarni - piękne Lublinianki.

– No Smyki, dosyć tego, jedziemy do koni, a później na kolację do „Kłopotowskiego" i... spać... na żadne tam... ranaki ani „gu-gu", o 22ej... spać, i Henio jak zwykle: –

– Panie Starszy!... płacić!

Dzień zawodów zaczynał się pochmurno. Poranek cudny, ale około 10ej lunął deszcz, padał nie długo, ale „lało" jak z cebra. Do szesnastej wypogodziło się, ale teren może być paskudny. Lubelska ciężka gleba tak prędko nie wyschnie. Konie mieliśmy okute na „ostro", ale jednak mogą być poślizgi.

O godz. 15 słońce znów prażyło, górna warstwa gleby wyschła, ale „spód" mokry.

Trybuny pełne „kibice fanatycy" łażą na rozprężalni, medytują, - ruch, hałas, zdenerwowanie, emocja i... strach, u znajomych oczy kurczy-

nów zawodników.
Wszystko to ma jakiś swój wpływ na stan psychiczny zawodników.... bo to przecież nagroda - „ambicji jeździeckiej”

– Kto sędziuje? pytamy Henia.

– Któż inny, jak nie Leonek Kon, uważając by wszystko było „fair”, bo On do wszystkiego się czepia.

Major Leon Kon już wówczas był sędzią jeździectwa klasy międzynarodowej i słynął jako sędzia bardzo skrupulatny. Za najmniejsze odstępstwo od przepisów jeździeckich, czy przewinienie wobec etyki jeździeckiej – można było „wysiąść” tuż przed wjazdem w szranki.

Przed konkursem o „Nagrodę Prezydenta”, odbywały się dwa konkursy „mniejszego kalibru”, w których tym razem, my nie braliśmy udziału.
W tym czasie rozprężamy nasze konie.
Pułkownik Niemontowski i kilka innych pań, skaczą koło nas, podają to lemoniadę, to czekoladę... by tylko „chłopaczki”... wygrali.

Ja, – na „Nicią” w takich wielkich zawodach biorę udział po raz pierwszy – koń też wzbudzał

powszechny zachwyt i podziw, - teraz już skakał doskonale i chodził pod siodłem jak dobry szwajcarski zegarek.

- Co to za koń? pytano mnie co chwila.

- „Nie-ci-do-tego", odpowiadałem spokojnie.

- „Widzisz go, jaki ważny, bo ma „volbluta" - obrażali się pytający koledzy.

Przejeżdżam koło grupki kilku osób - pań i panów cywilnych i dwóch pułkowników, - wskazują na mnie i o czymś z sobą rozmawiają, a jeden z pułkowników, zwraca się bardzo grzecznie i uprzejmie pyta:

- Jak się nazywa pański koń? panie poruczniku!

- „Nie-ci-do-tego" - odpowiadam.

W grupie pytających - konsternacja.

- Mógłby pan być grzeczniejszy, poruczniku! - ze złą miną warknął pułkownik.

Dopiero programy i wyjaśnienia naszych kibiców rozjaśniły, że to nazwa konia, a nie złe wychowanie jeźdźca.

Pod koniec drugiego konkursu nasze konie były już „wypilotowane" oddajemy je luzakom, a sami czekamy na sygnał zezwalający na oglądanie naszego „parcours'u". Czeka nas, aż 76 cm. Mało kto rozmawia - cała „jeździecka brać" w skupieniu, - tylko Henio chodzi wesoły i dowcipkuje. - Co?, - „Pieterka" złapałem, ... nie szkodzi ... co dwie głowy... to nie jedna!, i t.p.

Wreszcie sygnał - idziemy oglądać „parcours." Zawodnicy uważnie oglądają każdą przeszkodę, naprowadzają „astrolabu" t.j. jak na tą, czy na inną najlepiej najechać.

Henio teraz poważny, omawia z nami każdą przeszkodę - radzi, proponuje sposoby najazdu: - ta? - g... smaruj prosto; ta? - tu przytrzymaj i pójdzie „pieroń"; ta? - ... zaniemówił - przeszkoda N 8 „trybunowa."
- Niech ją szlag trafi! ... co za skurczy byk ją postawił? ... i Henio podrapał się za uchem.

× parcours = tor przeszkód

str. 398

Rzeczywiście przeszkoda paskudna: szereg „oxerów" - pięć z nich ustawione na rozpiętość 8 metrów jeden od drugiego - pierwszy 1.30 m drugi 1.40 m - reszta około 1.60 i jako szósta - przeszkoda o wysok. ok. 1.60 - kozły, szer. niski ok. 2,5 m.

- Widzę dzieło majora Burkraby, - żeby go cholera wzięła! - przyszedł Henio, nie widział, albo udawał, że nie widzi stojącego w pobliżu majora.

- Nie weźmie, nie weźmie! - odgryzł się z uśmiechem mjr Burkraba. - ale Ty?... z płaczem pojedziesz do domu!

Roześmiały się, stale uśmiechnięte oczy Henia:

- Jaż nie z Kraśnika... żeby płakać! (major Burkraba służył w 24 p. ułanów, który stacjonował w Kraśniku).

Koło przeszkody tej staliśmy dość długo - ta przeszkoda była decydująca - trudna... można wytrzymać!

– Niema co ozdrażać!, chodźmy „Pitalaje" dalej, „Wampir", „Nic"... to przyjdą... i Henio jak zwykle zaczął podgadywać innym.

Byliśmy w dobrej sytuacji, gdyż wg losowania „Jury" startowaliśmy: Tadzio N 3, – ja N 61, Leszek N 67. Przed nami prawie wszystkie „asy", dwaj tylko za nami: – Sobański N 68, Strzałkowski N 72.

Będziemy znali wyniki innych i od tego uzależnimy swoją taktykę jazdy, – ale ile to czekania na start – nerwów kosztuje?

Sygnał!... jedzie N 1... na start!

Zaczęło się. Tak jak przypuszczaliśmy – „okory" (przeszkoda N 8) decydująca,... leca drągi, a sędzia... notuje punkty karne.

Silne napięcie opanowało wszystkich, i widzów i zawodników.

Nasze panie chodzą po życie, po martwe:

– ten cholerny szereg „okorów"!!!

Przejechała już połowa, – ani jeden... czysto, w tym i większa część „asów".

– Jedzie N 43-ci... na trybunach wybuch hałasu –

przeskoczył szereg „oxerów” - na czysto, ale jeszcze 8 innych, ... złapał dwie zrzutki i tak do N 60 go

- Sławek, na start, i Hanio poklepał mnie po kolanie:

- Smaruj śmiało!!

Zdążyłem jeszcze zobaczyć „cypiorne” miny „kibiców” naszego pułku i ... hajda.

„Nic” idzie wspaniale, czuję, że skoczy każdą przeszkodę - jest spokojny, ale zdecydowany, skoki obliczone, świetne. Zakręcam na ten paskudny szereg „oxerów”. „Nic” postawił uszy, silniej oparł się na wędzidło... dodał, ale zrobił to spokojnie... z rozmysłem, a teraz moja rola: - dobrze siedzieć i w porę dobrze oddać wodze i pójść za ruchem skoku. Zrobiłem co mogłem - lekko naciskam łydkami - „cudny koń artysta” - pisze swoje dzieło.... szereg „oxerów” za nami i... czysty.

Burza oklasków... teraz już niema strachu, reszta przeszkód, to... pieczniak.

„Nic” skacze teraz klasycznie - bierze ślady „rabkutów” - każdy skok obliczony, swobodny - jeszcze tylko jedna przeszkoda... ostatnia, -

„tradycyjny" „tripl-barre" – dla „Nica" ... mucha
Czuję radość ... taki sukces, ... czuję jak „Nic"
wspaniale rwie się na przeszkodę ..... tylko ten skok
i ..... co to? ... gwiazdy w oczach, koziołkuję po zie-
mi, ... ból w boku i w prawej nodze ... leżę na ziemi
Podrywam się jak oparzony, ... i widzę ... o Boże! –
„Nic" leży też przed taśmami „mety!" – ja .. bez roga-
tywki, mundur na prawym ramieniu rozdarty, a
nogawka spodni prawej nogi – porwana w „drzazgi"
spadła na cholewę buta; .. w ustach pełno piasku,
włosy rozczochrane ... fatalny wypadek.

Przedpotwiedniowy ... zrobił swoje .. „Nic" wspa-
niale skoczył i tą ostatnią przeszkodę czysto (bez błędu),
ale przy doskoku (lądowanie) pośliznął się przednimi
nogami i „zrolował" .. leżał metr przed metą.

Przebyty przez tego wspaniałego konia „parcour"
na „0" – poszedł koło nosa ... nie przebyliśmy linii
„mety," – wynik, – wyłączeni z konkursu, ... a
szczęście .. było tak blisko!

Biedny „Nic" ledwo się podniósł, ... urwane ścięgna
obu przednich nóg. .... taki koń ... pycha sam.
Co za pech! ... tylko metr do mety!!!

Teraz cały ciężar spadł na „Wampira" i Leszka... oni muszą ratować honor pułku.

Jeszcze dwadzieścia kilka minut szarpania nerwów - jeszcze sześciu jeźdźców przed Leszkiem, a potem... „asy" Sobański i Strzałkowski

Okryty płaszczem, z napiędce obmytą twarzą, teraz już z ziemi, z nerwami napiętymi do ostateczności, śledzę przebiegi - tych sześciu.

Jadą jeźdźcy mniej groźni, ale... kto wie? - może wyskoczyć jakiś „fuchs". Złoty przyczysty przebieg zrobił tylko „Nic", który teraz ledwo stoi w boksie na biednych obolałych nogach, - a u Sędziego Głównego w rubryce „Nic-ci-do-tego" stoi jak byk... wyłączony.

Z Leszkiem nie zamieniłem ani słowa, nie mogłem Go denerwować.

Zbliża się Jego kolej. „Wampir" potężny szpakowaty wałach mieni się „jabłkami" na wypasionym krupie - chodzi bardzo spokojnie, mina Leszka skupiona i zdecydowana. Nasi „kibice" - napół żywi.

Jedzie № 66 - Leszek podjeżdża do startu, - i obaczył mnie:

- Jak się czujesz Sławek?

– Nie martw się o mnie Leszeniu, jedź spokojnie, a jak ... „Wampir"?

– Doskonale!

Wrosłem oczami w ten postument jeźdźca i konia ... wjeżdża na „parcours" – lekko kłusuje przed startem. Serce stuka tak, że omal nie pęka mundur ...

Sygnał ...

Leszek przyjmuje swoją charakterystyczną sylwetkę w dosiadzie, ... zagalopowuje i ... rozpoczyna przebieg ... zastygłem ...

Drugi – „koń artysta" broni honor pułku ...

skacze .... czysto ... czysto ... czysto ... zakręt i „szereg oxerów" ... przestałem oddychać.

Cudny rumak pracuje jak maszyna i ... burza oklasków – „szereg oxerów" ... czysty – na „0".

Czuję, że jestem cały mokry, a moją lewą rękę ściskają jakieś kleszcze ... koło mnie Henio.

– Teraz już niema obawy! panie majorze!

– Cicho o o o, syczy Henio

Leszek zakręca już na 14-tą przeszkodę – dość łatwa „double-barre" z rowem, – dla „Wampira" – zabawka ...

Przeszkoda ta stała tuż przy kanale po linii

trybun, bardzo blisko publiczności.

„Wampir" zrobił zwięzły mistrzowski zakręt i teraz ładnie i spokojnie atakuje przeszkodę 14-ą. Jest już od przeszkody kilka metrów, już.. już ... składa się do skoku,... a tu ... Koniec świata... cóż to?

Z pod kanatu (ogrodzenia) trybun wyskoczył z głośnym, przeraźliwym jazgotem... mały „ratlerek" i, tocząc się, jak wypuszczona z katapulty kula ... zaatakował „Wampira".

Była to straszliwa niespodzianka dla konia i dla jeźdźca.

Krew.. ścieknęła w nogi,... zaparło dech...

– O s... syn, zasyczał Henio i omal miski nie złamał - tak ścisnął.

„Wampir" odruchowo lekko uskoczył w w prawo w bok, ale skoczył... na ukos i przy samym stojaku, a... Leszek prawą nogą potrącił stojak... który się wywrócił... drugi (wyższy) drąg przeszkody spadł na ziemię... sędzia zapisał 4 p.k.,... to już więcej niż pech!

Resztę przeszkód „Wampir" skoczył doskonale,

ale na 4 p.k. ... takich zawodników jest więcej:

Ze straszną miną podbiegł do nas płk. Niemen-towski:..

– Heniu!... co teraz?

– Sędziowie powinni to jakoś rozwikłać – panie pułkowniku, – „Wampir" zrobił zrzutkę z przyczyny od siebie, ani od jeźdźca – niezależnej....

– Idę do Kona, – wyjaśnię... powinien ten wypadek jakoś rozwikłać!

– A jeżeli... Kon nie zechce?

– To mu łeb... urwę, i Henio poszedł do trybuny „Jury".

Teraz skacze por. Sobański – koń ujeżdżony – obrazek Juliusza Kossaka...
Jedzie jak „młody bóg", – wysoka klasa ... „szereg oxerów" przechodzi czysto, znów burza oklasków... i dalej... czysto, – końcowy bieg na „0". Gromy na 67 jeźdźców – czysty.

Poszedłem do Leszka, bałem się pisnąć słowa – popatrzyliśmy tylko na siebie.

Z „asów" został jeszcze tylko 72gi rotmistrz Strzałkowski, – stary „wyga", klasowy jeździec, –

172

str. 406

klepie po szyji swego „złocistego" kasztana i z charakterystycznym grymasem na ładnej buzi wjeżdża na start.

– Ta cholera... pojedzie dobrze! – mówi Henio Strzałkowski niesza, i ... znów piękny obrazek i... „parcours"... czysty... na „O" – pozostali cztery jeźdzcy nie wchodzą w rachubę.

Przybiega zdyszany Henio:–

– Sędziowie uznają, że z „Wampirem" zaistniał wypadek „specjalny" – „Jury" postanowiło:

1. albo „Wampir" powtórzy skok przez 14a przeszkodę i jeżeli będzie „czysty" – zajmie 3 miejsce,

2. albo... powtórzy cały „parcours"!

Wszyscy patrzymy na Leszka... ? Bez wahania powiedział:

– Powtarzam... „parcours"!

Nikt z nas nie powiedział ani słowa, ale w myślach byliśmy wszyscy zgodni, że... Leszek innej odpowiedzi... nie da.

Temu przebiegowi wszyscy przyglądali się ze specjalnym napięciem, i publiczność wszyscy

zawodnicy, ... hippodrom zamarł.

Przed oczami ... spiżowy jeździec ... i siwy jabłkowity koń ... cisza, którą przerywa skupiony głos sędziego:

– pierwsza – 0, druga – 0, trzecia – 0, ... ósma – 0 (szereg oxerów) – huragan oklasków i znów cisza, – dwunasta – 0, czternasta – 0, teraz już trybuna ryczy, a my? jeszcze truchlejemy.... – piętnasta – 0, ... szesnasta – 0! – Hurraa!!!

Leszek blady, zdyszany wpada na paddok – ściągają go z konia, podrzucają w górę.

Parcours czysty, ale jaki czas? chwile obliczeń i narady sędziów wydają się nam... stuleciem.

Wreszcie z trybuny sędziów sygnalizują:

– Podajemy wyniki konkursu!

Nam... przestają bić serca. Jeszcze sekundy, jeszcze napięcie nerwów do ostatnich granic.

I oto - trybuna podaje:

– porucznik Sobański na koniu „Lidor"
O.p.k czas – 1.^{37}

– rotmistrz Strzałkowski na koniu „Wiking"
O.p.k. czas – 1.^{32}

rotmistrz Jurkowski... na koniu „Wampir"
O.p.k. czas – 1.^{26}

Teraz dopiero zawrzało na hippodromie..
po chwili „spiker" podaje dalej:

– pierwsze miejsce i nagrodę Pana Prezydenta miasta Lublina... zdobył rotmistrz Leszek Jurkowski z 2go Pułku Strzelców Konnych na wałachu „Wampir."

— " —

Przeprawa przez rzekę Bug.

W ramach ćwiczeń letnich (manewry) pułki musiały przećwiczyć praktycznie przeprawy przez rzeki wpław.

Brygada nasza w tym roku (1934), w pierwszym okresie ćwiczeń kwaterowała we wsiach nad rzeką Bug, w rejonie Uściługa.

Siedziałem z kolegami w ogródku mego gospodarza popijając herbatę.

– Gdzie pan porucznik S.? – usłyszeliśmy znajomy głos adjutanta pułku.

– Chodź, chodź, – ja jestem tutaj!

– Macie chłopcy herbatę?

– Mamy, i to dobrą, – siadaj!

Ja jestem smakoszem herbaty, tak że i na manewry zabierałem z sobą najlepszą herbatę i czajniczki, a mój ordynans nauczył się doskonale zaparzać i podawać tylko w szklance. Adjutant usiadł i zaczęła się rozmowa.

– Aha! byłbym zapomniał, – ty Sławek masz jutro na 8ą przybyć do Sztabu Brygady i zameldować się u dowódcy brygady, pojedziemy na

wyszukanie przeprawy

Byłem uważany w pułku za najlepszego pływaka. Była to prawda, gdyż urodzony pomiędzy „dwoma morzami” (Azowskim i Czarnym) i nad wartką rzeką Kubań z jej zalewami - od dziecka już pływałem nieźle.

Drugiego dnia o 8ej byłem już w sztabie Brygady. Przyjął mnie szef sztabu Brygady.

– Ma pan zadanie, panie porucznika! Weźmie pan 5 podoficerów z obu pułków - dobrych pływaków i pojedzie pan na odcinek X rzeki Bug, na którym znajdzie pan dogodne miejsce na ćwiczenia przeprawy Brygady. Daję panu 3 dni czasu.

– Niech pan chwilę zaczeka, chce z panem rozmawiać dowódca Brygady. (znany już czytelnikowi płk. Hanka-Kulesza).

Po chwili wszedł pułkownik:

– czy już otrzymałeś zadanie?

– Otrzymałem - panie pułkownika!

– Otóż tak: - przeprawa ma być bezpieczna w miarę możliwości, ale nie znaczy to, że ma być łatwa, - taka, by do płynięcia było 35-50 m.

– Rozkaz, panie pułkowniku!

Na drugi dzień znaleźliśmy dobre miejsce we wsi Skomorochy. Jeden brzeg wysoki, ale zjazd bardzo dobry i wejście do wody też bardzo dobre. Koryto rzeki zagłębia się łagodnie, tak że najpierw woda płytka, a dopiero po paru metrach – coraz głębiej, aż do głębokości 5–8 metrów.

Drugi brzeg niski, ale wyjście też bardzo dogodne. Do płynięcia około 35 m.

– Dobra, tutaj przeprawa!

Koledzy będą zadowoleni, że odcinek do płynięcia dość krótki – mieści się w ramach rozkazu. Obiecali mi „nabić mordę" jeśli odcinek do płynięcia będzie długi.

– No chłopcy, – gra! Mamy jutrzejszy dzień wolny – dowódca brygady dał nam na poszukiwania 3 dni.

Przygotowałem kilka łodzi od miejs-

cowych rybaków, jeszcze raz rozważyliśmy za i przeciw przeprawie - wracamy do domu.

Złożyłem pisemny meldunek do sztabu Brygady. Dowódca Brygady wezwał mnie do siebie i razem pojechaliśmy konno oglądnąć wybraną przeprawę.

- No! - panie porucznika, jazda na drugą stronę, zobaczymy jak to wygląda!

- Jak?, panie pułkowniku - w ubraniu i uzbrojeniu?

- Nie! - dzisiaj żwawo w kąpielówkach i bez siodła!

Rozebrałem się, dosiadłem mego „Ataka" - przepłynęliśmy tam i z powrotem bez żadnych trudności.

- Doskonale! - akceptuję miejsce przeprawy, - za trzy dni przeprawę,

jedziemy do domu.

Ćwiczenia te, niektórych i ułanów i oficerów napawały strachem - nie wszyscy umieli pływać.

- Jak tam Sławek? - dziwo do płynięcia? - obskoczyli mnie koledzy.

- „Mucha" nie przeprawa! zapewniałem - zresztą zgodnie z prawdą.

Naprawdę byłoby wszystko dobrze, gdyby nie deszcz, który dosłownie lał przez następne dwa dni.
Wieczorem, dnia poprzedniego przed dniem przeprawy deszcz ustał, ale byłem pewien, że woda na Bugu przybrała.
Koledzy, specjalnie ci, którzy z pływaniem byli „na bakier" - chodzili z powarzonymi nosami.

Przeprawa - pewno będzie odwołana - łudził się ten i ów.

Zapada noc, a rozkaz odwołujący przeprawę nie nadchodzi - znaczy to, że jedziemy.

Ja, - z moimi 5ciu podoficerami wyjechałem wcześniej; by poczynić potrzebne przygotowania na miejscu.

To co ujrzałem po przybyciu na przeprawę - przeraziło i mnie i moich podoficerów: - z łagodnej przeprawy ani śladu, woda wezbrała o kilka metrów, niknie gwałtownie, szumi, pieni się, zalewa niższy brzeg.

Moi podoficerowie kręcą głowami....

- niech to szlag trafi!... coś tu zrobiło?... tego to chyba i my nie przepłyniemy?

Byłem teraz pewien, że dowódca brygady jak taki stan przeprawy zobaczy - ćwiczenia odwoła.

Nadchodzi Brygada. Do przeprawy podjechał szef sztabu:

- Coś ty wyszukał? - tu do djabła... trzeba statków,... a nie wpław! Meldowałeś, że przeprawa taka dobra?

– Była dobra - panie majorze, - dowódca Brygady ją widział i zaakceptował, ale ta włowa zrobiła rzeczywiście... paskudną sytuację.

Szef sztabu pokiwał głową:–

– Myślę, że pułkownik jako „to” zobaczy – ćwiczenia odwoła.

Ja myślałem tak samo, ale... stało się inaczej.

Ukazuje się czoło Brygady, – podchodzę do dowódcy Brygady:–

– Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że na skutek deszczu przeprawa poważnie się pogorszyła!

– Czyżby? – zaraz zobaczymy!

Poszliśmy do przeprawy, a za nami przybiegli przerażeni obaj dowódcy pułków.

Brygadier popatrzył... nachmurzył minę i już zdawało się, że.... ćwiczenia odwoła.

– A jeżeli tak będzie na wojnie?...

przygotować pułki do przeprawy!

str. ~~416~~.

Przyznam się, że tego nie spodziewałem się, ale śmiać mi się chciało z min dowódców pułków. Odeszli z brygadierem, coś mu tłumacząc. Miny moich kolegów z obu pułków brygady - były nie lepsze.

- Coś ty wyszukał do cholery! - rzucali się do mnie jedni; - drudzy złośliwie podgadywali: - „całe życie mi innego nie robił, jak tylko i nurkował z Czarnego morza - do Azowskiego,... to może pływać!"

Odgryzałem się jak mogłem, zapewniałem, że 3 dni temu było tu inaczej; ale oni psioczyli dalej i nie chcieli mi wierzyć.

- No to... potopicie się „Pitolące", krzyknąłem już zły.

- Porucznika S.! - usłyszałem w tym momencie, a także dobiegły mnie głosy kolegów: - „utop się sam!"

Podchodzę do dowódcy Brygady, - stoi w otoczeniu dowódców pułków, szefa sztabu i adjutantów: -

— Panowie twierdzą, że przeprawa jest niemożliwa; - ... a co pan na to?

Zatkało mnie... co mam odpowiedzieć?

— Przeprawa, - na skutek ulewnych deszczów poważnie się pogorszyła i jest niebezpieczna panie pułkowniku, ale... na upartego można przepłynąć!

— No więc... ja i pan... jesteśmy uparci, - niech pan sam się przeprawi i pokaże jak to wygląda!

— Rozkaz panie pułkowniku! a w duchu pomyślałem, że ja... w tym wypadku wcale nie jestem uparty.

— Dawaj „Atara”! - zawołałem do luzaka.

— I tym razem poruczniku może pan przeprawiać się w spodenkach i koń - bez siodła.

To już lepiej! pomyślałem i zacząłem się rozbierać.

Brygadier kazał ustawić Brygadę na

wysokim brzegu tak, by wszyscy widzieli jak będę się przeprawiał.

Teraz już koledzy, nawet ci, którzy życzyli mi – „utop się sam", – patrzyli na mnie ze współczuciem.

– Jestem gotów, panie pułkowniku!

– No… to dalej!

Podjeżdżam do rzeki…. do wody jeszcze kawał, a… „Atak" już chrapie i wygina się – a przed lustrem wody…. stanął.
Pcham go bosymi łydami… gdzie tam!

Komendant drużyny ratowniczej porucznik Rysio Kwiatkowski podał mi bat: –
– Daj mu parę batów, to wejdzie, a… w razie czego…. ja ci pomogę!

Mocne dwa baty pomogły,… „Atak" szczupakiem wskoczył do wody.

Po kilku metrach nowoczych ruchów oderwał się od dna rzeki i począł płynąć.
Zsunąłem się przepisowo do wody na stronę konia „przeciw prądowi".. płyniemy obaj.

Prąd silny... znosi, „Atak" płynie nanowo, czuję że boi się i szuka okazji by zawrócić do brzegu,.. raptem obok jakiś raptowny ruch.. widzę jego kopyta przednich nóg nad moją głową... puszczam grzywę i wodze......
„Atak" zawrócił i płynie do brzegu.
Płynę za nim. Widzę jak Rysio K. obok rozpaczliwie macha i czuję, że chce płynąć łódką na pomoc, ale jeszcze nie ma powodu.
Dopływam do brzegu, „Ataka" złapali.
Na brzegu cisza... tylko ta paskudna woda szumi i wartkuje.
Brygada... zataiła dech,... dwa tysiące oczu patrzą i czekają.... co będzie dalej.

Teraz napewno ustąpisz:- „niech pan więcej nie płynie".

Były to tylko moje pobożne życzenia... cisza trwa dalej. Nie ma rady... rozkaz nie odwołany. Siadam na konia w milczeniu. „Atak" i teraz upiera się, znów dostał baty i poszedł, a na środku rzeki.. taka sama historia, znów obaj- każdy

dla siebie płyniemy do brzegu, ale teraz już ja.... zaciąłem się.

Teraz to już nie ćwiczenia, a widowisko – zbiegła się cała wieś.

Czuję, że jestem zmęczony, ale wiem, że... przepłynąć muszę, teraz ja sam chcę....

– Wójcik! – dawaj „Fultona"!

Wójcik, to plutonowy mego szwadronu, a „Fulton" – jego koń, który przybył do Polski w 1919 roku z Francji wraz z Armią Generała Józefa Hallera.

„Fulton", silny, dobrze zbudowany, spokojny... stary wyga.

Poczciwy, kochany, starszy koński pan – spokojnie wszedł do wody,.... zagłębiamy się,... już płyniemy....

„Fulton" ciężko dysze, charakterystycznie ustawia „po wodzie" uszy i łeb i płynie jak zwolniona w szybkości torpeda.

Na środku rzeki – jakoś dziwnie

nami rzuca, ale „Fulton" waleczy i płynie dalej, – znów silne „rzucanie" i płyniemy dalej, ... jesteśmy już na drugiej połowie rzeki, ... zbliża się przeciwległy brzeg.

Mój kochany koński przyjacielu, uratowałeś honor swego końskiego rodu i honor oficera kawalerii.

„Fulton" łapie dno, ... jeszcze parę metrów i wychodzimy na brzeg, – obaj „łapiemy dech", – dostaliśmy w „kuper", jak się patrzy!

Z wysokiego brzegu dolatuje melodia miła sercu – melodia marsza pułkowego i dwutysięczny okrzyk ... h.u.r.r.a.a!, a po chwili mknie łódka, na której rozpromieniony Rysiek K. macha do mnie ręką.

– Daj Rysiu papierosa, – bo umrę!

– Tak! ja też przecież jestem w spodenkach, papierosy ... na tamtym brzegu.

Daje mi papierosa stary pastuch, który tu pasł bydło, ale był to nie gotowy pa-

str. ~~422~~

pienos monopolowy, a skręt z „samosiejki" – taki „muchobój", że rzeczywiście omal nie zwalił mnie z nóg.

Poklepałem staruszka „Fultona" serdecznie, zdjąłem z jego poczciwego łba uzdę i za grzywę podprowadziłem do lustra wody:–

– Wracaj staruszku do Szwadronu! Tak samo spokojnie wszedł do wody i popłynął,... a Brygada w milczeniu przyglądała się zmaganiom i wyczynowi tego bohaterskiego rumaka.

Na wysokim brzegu i jego spotkano marszem pułkowym i gromkimi hurraa!, a ja wróciłem łódką.

Na brzegu czekał dowódca Brygady:–

– Teraz wierzę, że jesteś uparty! ale on... pokazał ogoń na Brygadę,–... nic.

– Ćwiczenia przeprawy odwołuję.

–„–

Epilog tej przeprawy taki:–

poczciwy „Fulton" z miejsca otrzymał

emerytury. Dowódca pułku nie pozwolił już go siodłać. Do końca manewrów, luzem bez żadnego ogłowia biegał za szwadronem, a po powrocie do koszar otrzymał osobny boks, nigdy nie zamykany, chodził po terenie koszar kiedy chciał i gdzie chciał.

Zasnął na wieki w dwa lata po przeprawie.

Ja - dostałem srebrny Krzyż Zasługi - po raz pierwszy.

A... czy już czas?

W roku 1933 zawody eliminacyjne Okręgu Korpusu Lublin do „Militari W.P." odbywały się w Łucku na Wołyniu.

Zawodników i konie zakwaterowano w koszarach piechoty, kawaleria bowiem w Łucku nie stacjonowała.

Tuż za koszarami rozciągały się dobrze teren - place ćwiczeń piechoty. Na tych placach zorganizowano wszystkie próby „Militari"

Nasza ekipa 2 p.s.k. była dość silna. Dowódcy pułku i nam zależało bardzo, by zawody eliminacyjne ukończyć dobrze i zakwalifikować się do „Militari W.P.", które w tym roku organizowała nasza Brygada w Hrubieszowie t.j. u nas w pułku.

Próba „A" (konkurs na czworoboku) w pierwszym dniu zawodów odbywała się na placu, tuż koło murowanego płotu koszar – naprzeciw bloków oficerskich, które były ładnie wyróżnione śród dobrze utrzymanego parku.

Losowanie kolejności startu wypadło tak, że Leszek Jurkowski startował jako jeden z ostatnich.

– Bardzo dobrze, że Leszek startuje po was, będziemy mogli wszyscy pilnować, by nie spóźnił się on – do startu! – mówi do nas zadowolony płk. Niementowski.

Z Leszkiem mieliśmy zawsze kłopot; gdyż ten fanatyk koński, z chwilą gdy

dosiadał konia - zapominał „o bożym świecie". Do rozprężania konia przed startem z zasady nie korzystał z wyznaczonego miejsca - (z rozprężalni), a zaszywał się gdzieś tak, że trudno go było znaleźć.
Sam, - nie ponaglany, napewno nigdyby na czas na starcie . nie zjawił się, a według przepisów jeździeckich zawodnik, który z jakiegoś kolwiek powodu nie przekroczy linii startu w ciągu 60 sekund od właściwego czasu - zostaje z danego konkursu - wyłączony.
Musieliśmy zatem dosłownie wszyscy stale go pilnować i nie pozwolić mu oddalać się od miejsca próby.
- Tu, - możemy być spokojni o Leszka, panie pułkowniku; wszędzie otwarty plac - widoczny na parę kilometrów, a za nami murowany wysoki płot parku koszarowego!
- Niby tak, ale kto wie co jemu może przyjść do głowy! musimy jednak pilnować nawet tutaj!
W niedługim czasie przekonaliśmy się, że pułkownik miał rację.

Zbliża się czas rozpoczęcia próby „A”, jesteśmy wszyscy w stajni, luzacy siodłają konie, kontrolujemy dostosowanie rzędu. Leszek krząta się koło swego „słynnego Wiernego” i jakoś odciąga się z siodłaniem. Właściwie miał rację, startując na ostatku, mógł normalnie wyjechać ze stajni w dobrą godzinę po nas, ale.... gdyby to był kto inny, - a nie Leszek!

— Leszek, czemu nie siodłasz swego „Kaktusa”?

— Ja, panie majorze ~~jadę~~ startuję prawie ostatni, mogę wyjechać później!

Major Dobrzański znał dobrze swego pupila i... nie dał się „zaczarować”.

— Gadaj do lampy! Siodłaj i jedź razem z nami!

— Rozkaz, panie majorze, już siodłam.

Wyjeżdżamy na plac, rozprężamy konie, - Leszek jedzie z nami.
Rozpoczyna się próba „A”.

Major Dobrzański zawołał do siebie Leszka: -

- Słuchaj Leszunin! my chcemy popatrzeć na zawody na czworobocku, a ty pamiętaj - nie wolno ci się oddalać z tego oto placu - „poniatno"?

- Tak jest, „poniatno" panie majorze!

- Chodźmy panie pułkowniku! mówi major Dobrzański, - niepodobno by on na tej płaszczyźnie.... zginął!

Pułkownik odchodził niechętnie i jeszcze krzyknął do nas:-

- uważajcie na Leszka!

My byliśmy zajęci sobą, ale od czasu do czasu popatrywaliśmy na Leszka. Ja startowałem o dwa numery wcześniej, znaczy to, że po zakończeniu próby będę miał około 30 minut, by przypilnować Leszka.

Nadchodzi czas mego startu, - jadę do chorągiewek startowych, - odprowadza mnie konno Leszek:-

- Jak się czujesz Stasiek? Jak chodziła „Olimpiada"?

- Chodzi dobrze! ale jak będzie chodzić na

naszej przeszkodzie - zobaczymy

pobić ....?

– Porucznik S. - proszę na start!

„Wrony" (bo tak się nazywał mój koń) chodził bardzo dobrze, uważnie odbierał nakazy pomocy, a wykonanie pracy było doskonałe, otrzymałem minimalną ilość punktów karnych.

Posypały się gratulacje, byłem zadowolony, zsiadłem z konia i podniecony własnym sukcesem ucięłem pogadankę z kolegami .... zapomniałem o Leszku.

Pogawędkę przerywa przeraźliwe wołanie:–

– Sławek, Sławek!

Odwracam się i widzę biegnącego pułkownika Niemontowskiego, – przerażony, spocony, łapie się za głowę....

– Nie ma... Leszka!!!

Okazuje się, że wszyscy „nasi" patrzyli na moje „popisy", a... w tym czasie.... Leszunio .... zniknął.

Jeśli Leszek się spóźni, przegrywamy zawody i do Mistrzostw – nie trafimy.

Dla naszej ekipy bowiem sytuacja ułożyła

się tak: - już startowało nas trzech, jeden „nakroił", teraz cała nadzieja na Leszka, ma on doskonałego konia, no i sam jest doskonałym jeźdźcem, ale.... Leszka niema, a czas leci, przegapiliśmy około 15 minut, jeszcze 10-12 minut i jeżeli Leszka nie znajdziemy, to.... klapa!

Ciarki przebiegły po mnie; gdzie ta „cholera" pojechał? Cały plac jak na dłoni i.... rzeczywiście Leszka niema.

Nie wiedziałem poprostu gdzie go szukać; gdyby na placu było chociażby.... jedno drzewo... poszedłbym obszukać go dookoła... ale tak... co robić?

Pułkownik i Henio klną i bez sensu biegają tu i tam. Odwróciłem się w kierunku koszar, przede mną wysoki mur,.... a może on pojechał do parku? Możliwe, ale którędy?

Zrezygnowany podchodzę do muru, chcę zajrzeć, na wszelki wypadek do parku, ale jak to zrobić? mur wysoki. Idę - właściwie odruchowo - prowadzony instynktem.. wzdłuż muru,.... patrzę ze strachem na zegarek.... jeszcze 7 minut. Mijam załamanie muru i widzę... w murze żelazna furtka, a na ziemi przed furtką ślady

o kutych kopyt konia,... kierunek do parku. Zrozumiałem. Naciskam klamkę, - ustępuje, pcham furtkę i wpadam do parku, ... przed oczami zarysowuje się obrazek: - w głębi parku duży dom mieszkalny, duża willa, a na szerokim, doskonale utrzymanym podjeździe... przerabia fragmenty z czworoboku... Leszunio.

Teraz - ja, cwałem „z prawej" lecę do tego „łobuza": -

- Leszek! Leszek! do jasnej cholery... jedź bo się spóźnisz!

Ocknął się.

- Ile jeszcze czasu?

- Nie pytaj, psiakrew! - dwie minuty!

Leszek ruszył w kierunku furtki;... a jeśli furtka zatrzasnęła się? Oblałem się zimnym potem, zdjąłem rogatywkę, ocieram spocone czoło... patrzę w... furtkę, - przejechał.

Chwała ci panie Boże!... zdąży! Teraz już mogę nie spieszyć, odwracam się w kierunku willi, - na dużym balkonie

... dwie panie - starsza i młodsza. Co mam teraz robić? Z kłopotu wybawiła mnie starsza pani:-

- Czemu pan tak krzyczał na tego pana, który tu tak ślicznie jeździł konno?

O mój Boże! pomyślałem... ile by nas ta „śliczność" kosztowała, gdyby opatrzność nie przeprowadziła mnie tutaj.

Przypuszczałem, że w tej willi mieszka napewno jakaś „gruba ryba" wojskowa - podszedłem do balkonu:-

- Przedstawiam się:- porucznik kawalerii S.

- Bardzo nam przyjemnie! ale czemu pan nas pozbawił pięknego widoku?

Wytłumaczyłem miłym paniom powód mego gniewu i pośpiechu.

- Proszę, może pan napije się czegoś zimnego?, taki pan... zdenerwowany.

- Ale ten pan jeździł i ani razu na nas nie popatrzył! wtrąciła młodsza... piękna, naprawdę piękna panienka.

Uśmiechnąłem się na to „dictum"

- Proszę pani! kolega rotmistrz Leszek Jurkowski

to fanatyk, trzeba go znać.... podczas jazdy świata nie widzi!

– Świata może nie widzieć, ale... kobiety?.. ... to już nie po ułańsku!

– On tyż nie jest ułanem, a konnym strzelcem, proszę pani, odpowiedziałem śmiejąc się.

– Pański kolega pięknie jeździ konno, a pan.... jest dowcipny!... bardzo nam będzie miło jeśli obaj panowie zechcą dziś o 7 wieczorem... wypić z nami herbatę.

Podziękowałem uprzejmie i poleciałem popatrzeć jak ta „cholera" jeździ na czworoboku, zdążyłem na zakończenie.

– Jak jeździł? pytam Henia.

– Pisał, skurczy byk, a nie jeździł! Napewno będzie miał wynik lepszy od twego!

Słusznie, – najtrudniejszą próbę kończymy sukcesem; następne dwie są nam nie straszne.

Pułkownik stał za plecami sędziego głównego i przez jego ramię „zapisywał zera" do listy not.

Ostatni ruch konia i „stój" – koniec próby.

Leszek salutuje... sędziowie zamykają sztopery... Leszek „oddał wodze" poklepuje „Wiernego" i stępa zjeżdża z czworoboku.

Kleopatra nie witała tak Cezara - jak teraz ściskał Leszka uradowany pułkownik.

— Pan pułkownik teraz Go ściska,... a ja temu „draniowi" -.. mordę skuję!

— Daj spokój Sławek! - nasza ekipa w tej próbie ma... pierwsze miejsce.

— Ale gdyby nie Sławek, to nasze pierwsze miejsce poszłoby o.o.o. i Henio zrobił charakterystyczny i wymowny ruch ręką... koło nosa.

— Temu „draniowi" panie pułkowniku, zaraz po urodzeniu niańka „zaczarowany" czepek na łeb nałożyła.

— Czemu? śmiejąc się zapytał pułkownik.

— No bo tak: na czworobok... nie spóźnił się, próbę zrobił świetnie, podeptał doskonale utrzymany podjazd i jeszcze go piękne panie zaprosiły na herbatę!

— Co.o.o - jak? pytano mnie z zaciekawieniem

Opowiedziałem przebieg znalezienia Leszka i rozmowę z paniami.

– A kto to jest? Ja się zaraz dowiem, i... pułkownik poszedł do grupy sztabowych oficerów piechoty, którzy byli tu jako widzowie.

Okazało się, że w willi mieszka dowódca miejscowej dywizji piechoty – pułkownik dyplomowany X.

– Panie was zaprosiły, ale jak pułkownik zobaczy poorany kopytami „Wiernego" podjazd.... to on wam da.... herbatę!

– Dlaczego... „wam"? panie pułkowniku, ja tam byłem bez konia, – na własnych nogach.

Wieczorem wbijamy się w szasery i sztyblety, i... smarujemy na herbatkę, ... Leszek ma „Pietra".

Okazało się, że „Pietr" nie był potrzebny. Przyjęto nas bardzo serdecznie – pułkownik był również sympatyczny, jak jego żona i córka.

Spędziliśmy bardzo miły wieczór.

Uwaga!.. Baran.

Konie wyprowadzono na konowiązy; odbywa się południowe czyszczenie koni, - jest to czas, w którym oficerowie, jeżeli nie wypadło co innego - mogą mieć pogawędkę.

Koło stajni i konowiązu mego szwadronu zebrało się kilku oficerów. Palimy, rozmawiamy, - przyjemna, leniwa chwila, słoneczko doskwiera i „zaczernia" i tak już opalone twarze. Koło nas i koło koni kręci się szwadronowy baran, - taki, zwyczajny baranisko.

Kiedyś, komuś zagubił się on jako jagnię i przybłąkał się do szwadronu. Ogłaszałem przez policję i przez okoliczne gminy, ale po zgubę nikt się nie zgłosił, i baran został w szwadronie - nazwali go - jakżeż inaczej? - „Maciek".

Był to miły baranisko, ale w ostatnim czasie ułani nauczyli go „bucać."

Zabroniłem dalszej edukacji, ale co już umiał, - to umiał.

Nie znosił jeżeli ktoś zginał się i wystawiał „antresolę," - wówczas napadał błys-

kawiąznie, ale przed uderzeniem czynił charakterystyczne ruchy, - skakał obu przednimi nogami w miejscu uderzając o ziemię racicami i wydawał jakieś nieartykułowe odgłosy.

Rozmowa nasza przerwały te właśnie odgłosy. Wzrokiem szukamy „Maćka". Robi szelmą „stójkę" w kierunku Ambulansu Weterynaryjnego, który znajdował się naprzeciw stajen mego szwadronu, oddalony o kilkanaście metrów.

Koło ambulansu, w tej właśnie chwili, lekarz weterynarii major Montag badał kończynę chorego konia, dlatego ciągle naginał się przyjmując postawę, której „Maciek" nie znosił.
Baran narazie nie ruszył jeszcze do ataku, gdyż major co chwila zmieniał postawę, ale „Maciek" czekał.

Należało karać zapędzić barana do stajni. Chciałem już to zrobić, ale ktoś z kolegów... powstrzymał mnie.
- Daj spokój, będziemy mieli kino!
Gałgańska część mego „ja"... wzięła górę-

zarządzenia nie wydałem.

W tym czasie podano majorowi bandaże .... nie przeczuwał biedak co go za chwilę czeka,... wziął spokojnie opatrunek, stanął w charakterystycznej postawie i rozpoczął bandażowanie..

Cel... doskonały... pokusa tak silna! Można było (i należało) jeszcze i teraz napędzić barana,.... pokusa była jednak tak silna, że opanowała nie tylko „Maćka", ale... i nas,... nikt się nie ruszył,.... ułani przestali czyścić konie....

„Maciek" stuknął kilka razy przednimi kopytkami, jakoś dziko ryknął i.......

Cios był tak silny, że biedny Montag zawinął kilka potężnych kozłów.

Pokusie... stało się zadość,.... ale kawał był niesmaczny, tak, że i śmiech był nie „pełny."

Personel ambulansu podniósł majora, naprędce go oczyścili i podtrzymując pod ręce zaprowadzili do jego gabinetu, a my rozchodzimy się. - trzeba zatrzeć ślady.

Zauważyliśmy po chwili sylwetkę dowódcy pułku za sąsiednią stajnią - szedł w kierunku ambulansu weterynaryjnego.

– Czy pułkownik widział? - pytają zatrwożeni koledzy.

Zdawałem sobie sprawę, że „kawał" był brzydki.

– A co jeśli baran uszkodził majora?

– Jak teraz załagodzić sprawę?

Rozmyślania nasze przerwał głos komendy:

– Szwadron! - baczność! - i dalej słyszę jak wachmistrz-szef szwadronu składa meldunek.

Myśli błyskawicznie latają po głowie: pułkownik był w ambulansie, a teraz idzie po... moją duszę.

W drzwiach stajni - prawie „nos w nos" spotkałem się z pułkownikiem. Składam meldunek i chcę wyczytać z jego miny... czy zaraz „wybuchnie burza"? ... mina pułkownika groźna, ale... taka - jakby ta groza była wymuszona.

Cios był tak silny, że biedny . . . .

Dostr. 4 3/7 205

Uważnie na mnie popatrzył:
– Czy ty widziałeś zamiar tego barana?
Skłamać; ani nie chciałem, ani nie mogłem.
– Widziałem!... panie pułkowniku!
– No... tak! Teraz inna rozmowa;-jakby z ulgą powiedział pułkownik.
– Słuchaj!,– sprawa tego paskudnego barana.... miała dwa aspekty...:
- pierwszy – czy się przyznasz do.... winy,
- drugi – jak przeprosić majora?
Pułkownik chwilę pomyślał, po czym mówił dalej:...
– Tak jak się spodziewałem,– postąpiłeś po oficersku stwierdzając swoją winę... i wyraz twarzy pułkownika zmienił się na łagodny i... jakiś zagadkowy;-
– Bo widzisz!,... stałem przed stajnią Igo szwadronu i.... wszystko widziałem, i ja... mogłem też przeszkodzić, ale.... tego nie zrobiłem.... pokusa była... tak silna....
– Czy baran coś zrobił majorowi?
– Na szczęście poważnego nic, kości macałe,

parę siniaków, to... głupstwo, ale sam fakt?... ty rozumiesz?

– Teraz jest mi ogromnie przykro – panie pułkowniku!

– Ty wiesz,... że była to jakaś „masowa" pokusa, bo i personel ambulansu... widział wszystko, i nikt... wszyscy czekali!

– Czy major coś mówił! – panie pułkowniku!... w odniesieniu... do mnie?

– Nic! – ale zły na barana, prosił o zlikwidowanie „Maćka".

– Tym gorzej dla nas,... przepraszam – dla mnie panie pułkowniku!... ale... już wiem!...

– Wachmistrz – szef! kryknąłem, – proszę zrobić „zbiórkę" szwadronu i podprowadzić pod ambulans weterynaryjny – ustawić frontem do wejścia, w „rozwiniętym"!

– Rozumiem jaki masz zamiar, – będę przy tym! – z zadowoleniem powiedział pułkownik.

Poszliśmy za szwadronem. Kazałem wachmistrzowi poprosić majora,... po

chwili ukazał się w drzwiach....

– Szwadron - baczność! - na lewo patrz!

Podając komendę spostrzegłem, że ułani mieli jakieś... niewyraźne miny.... czuli się współwinnymi.

– Panie Majorze! melduję posłusznie, że wypadek, jaki spowodował mój „Maciek”.. stał się na moich oczach.... ja poniosę winę i konsekwencje!....

Chwila ciszy.... major mienił się na twarzy.

– W tej chwili panie doktorze nie chodzi mi o nic innego, jak tylko o wykazanie szczerej skruchy;... czynię to przed szwadronem i z całego serca,... przepraszam pana - panie Doktorze!

Major, ze łzą w oku, bez słowa podszedł do mnie i.... mocno mnie uściskał.

Po chwili podszedł do majora pułkownik:

– I... ja... ciebie jaknajserdeczniej przepraszam Heniu,... ja... też to wszystko widziałem.

– „ –

„Maćka,” - nie spotkała żadna kara - uważano tylko, by nie atakował „starszych panów.”

Alarm... podczas balu.

Swoje święto pułkowe 2gi Pułk Strzelców Konnych obchodził w dniu 14go lipca.
Na program tej uroczystości składały się: uroczysty „capstrzyk" dnia poprzedniego, a w dniu 14go lipca, - msza polowa, defilada, uroczysty obiad żołnierski, jakieś imprezy i na zakończenie bal w kasynie oficerskim i podoficerskim.

Na tą uroczystość zjeżdżał się cały „tłum" gości: - „naczalstwo" w osobach kilku generałów, przedstawiciele władz cywilnych wojewódzkich i powiatowych, goście z Lublina, Chełma, Zamościa, a nawet i z Warszawy, oraz liczne okoliczne ziemiaństwo.

Przedpołudniowy program uroczystości odbywał się zawsze - wyszczególniony - na 102.

Obiad żołnierski, odbywał się w budynku krytej ujeżdżalni i miał charakter „towarzysko-braterski". W obiedzie tym brali udział i „naczalstwo" i część gości cywilnych.

Przy stołach szwadronowych zasiadali:

ktoś z przyjezdnych, ktoś z „naczalstwa", oraz oficerowie, podoficerowie i wszyscy szeregowi szwadronu.
Przy obiedzie panowała swobodna, szczera i serdeczna atmosfera żołnierska, tym bardziej, że podawano trochę „czystej" i piwo.
Obiad kończył się około 16ej, potem rozpoczynały się różnego rodzaju atrakcje.
O godzinie 20ej w kasynach: oficerskim i podoficerskim rozpoczynał się towarzyski obiad i około 22ej - bal.
Trzeba przyznać, że na każdym obchodzie Święta pułkowego panowała nadzwyczaj przyjemna i serdeczna atmosfera, no i około 23ej-24ej.. wielu z nas.... miało trochę w „czubie".
Tak było i teraz.
Około godziny 2-3ej - nastrój balowy dochodził do szczytu,.. tańce, rozmowy, flirty, aż tu nagle.... sygnał na trąbce... alarm!
Wychylamy się przez okna,.. słuchamy... może to złudzenie,.... gdzie tam!.. trębacz dyżurny gra.... alarm!

W salach kasyna zabawa, tańce i hałas nie ustają, orkiestra gra dalej, ale .... na salę wchodzi dyżurny trębacz i rzeczywiście gra... nie tanga, a... alarm.

Teraz już ani wątpliwości, ani żartowania.

Orkiestra przestaje grać, tańczące pary rozchodzą się, zdumienie na twarzach, a oficerowie pułku biegiem mkną do mieszkań, aby się przebrać w strój służbowy - i do szwadronu.

– Kto zarządził alarm? pytamy w biegu jeden drugiego.

– Czort jego wie? - alarm i... kropka!

Wbiegam na klatkę schodową mego bloku mieszkalnego, w której było troje drzwi do trzech mieszkań oficerskich: mego, rotmistrza Leszka Jurkowskiego i rotmistrza Fomy Wdziękońskiego.

Foma wali w drzwi z całej siły .... zamknięte, bo ordynans poszedł pewno też gdzieś na „bal“ - no bo... święto pułkowe... nie tylko dla oficerów.

Nie zwracamy na Fomę uwagi.

Wbiegamy do mieszkań, szybko się przebieramy,.... słyszymy ryki i dalsze walenie w drzwi.
– Foma nie rezygnuje.

Już w mundurach służbowych wybiegamy z domu, a Foma,... dalej wali w drzwi i ryczy jak „bawół".

– Czy nie rozumiesz Foma, że nikogo w mieszkaniu niema,... ordynans gdzieś wyszedł i zabrał klucze...

– Jakże ja... w szasierach i sztybletach.... przed szwadronem!..

Coś jeszcze mówił, ale my „galopem z lancą na własnych pedałach" mknęliśmy do stajen.

– Wy,y,y- dra.a.anie!,-i coś tam jeszcze krzyczał rozpaczony Foma.

Za co nas beształ,- nie wiemy, bo przecież to nie nasza wina, że jego ordynans też sprawił „święto", a Foma klucza od mieszkania przy sobie nie miał.

W szwadronie zastałem niestety „bałagan". Jedną trzecią stanu szeregowych niema,- otrzymali przepustki nocne, podoficerowie też nie wszy-

cy, a ci co przybiegli – są dobrze „pod gazem" – nie kompletnie ubrani ... nic dziwnego ... przecież to Święto pułkowe, noc i bal ...

Taki mniej więcej stan „bałaganowy" panował i w innych szwadronach.
Machnąłem ręką, ... nic nie poradzę.

Szwadron siodła konie, a ja wyszedłem przed stajnię, by zobaczyć jak przebiega ten „dziwny alarm" w innych szwadronach, a specjalnie u moich sąsiadów.

W prawo – stajnie Igo szwadronu – jego dowódca rotmistrz Staś Glasco wraz ze swoimi oficerami biegają jak ... opętani, ale już wyprowadzają konie

Sąsiad z lewej strony – 3ci szwadron, dowódcą którego był właśnie rotmistrz Foma (Tomasz Wodzińkowski).
Tu dzieją się cuda: – Foma w stroju balowym, bez rogatywki, ... dosłownie „miota" się po stajni. Okazało się, że połowa jego podoficerów nie przyszła, a ci, co przyszli ... czuliby się lepiej – gdyby mieli po ... 4 nogi ...

Ale jakoś się tak stało, że właśnie 3ci szwadron pierwszy ukończył siodłanie i wyprowadził konie ze stajni. Dosiedli konie i Foma ciągle w stroju balowym i sukiennej furażerce... rusza ze szwadronem na zbiórkę pułku.

– Będzie... cholera... pierwszym!

W tym czasie usłyszałem od strony stajni 4go szwadronu: (dowódca Leszek Jurkowski)

– zbiórka koło krytej ujeżdżalni!

Foma dobrym kłusem ruszył na plac koło krytej ujeżdżalni.

Według instrukcji alarmowej pułku – zbiórki alarmowe, o ile nie wydano innego rozkazu – odbywały się na placu sportowym pułku, ale ... sam słyszałem głos, który kierował na plac koło krytej ujeżdżalni – znaczy nastąpiła zmiana instrukcji – trzeba jechać tam.

Mój szwadron wreszcie też dosiadł koni, – ruszam ... w kierunku krytej ujeżdżalni.

– Dokąd jedziesz!... do cholery!

Odwracam się,... adjutant pułku:

– Ktoś podawał, że tam .... ?

– Nic podobnego.... nie było zmiany in-

strzelnicy.

Zawracam... w tym czasie omija mnie w galopie 4ty szwadron Leszka J.

Ja... zawracając zapomniałem powiedzieć adjutantowi, że Foma pojechał właśnie na plac koło krytej ujeżdżalni

Na zbiórkę pułku przyjechałem jako trzeci, pierwszy przyjechał Leszek J., drugi Staś Glaser, a po chwili nadciągnął szwadron C.K.M i pluton łączności.

Ustawiamy się na zbiórkę, a.... Fomy nie ma. Zastępca dowódcy pułku ppułk. dypl. Sawicki jest już na koniu,.... chce formować pułk do zdania raportu, a... Fomy... nie ma.

- Gdzie jest do djabła 3ci szwadron? Miłosz... (też kawał drania) - zorjentowałem się, że ktoś naumyślnie wprowadził Fomę na fałszywy kierunek,.. ale kto?...
napewno.... Leszek!!!

Na dalsze rozmyślania nie było czasu. Podjechał dowódca pułku,.. komende... raport - ppłk. dypl. Sawicki - melduje:
- Panie pułkowniku, melduję posłusznie zbiórkę pułku... bez 3go szwadronu!

- Jakto... bez 3go szwadronu?.. gdzie jest 3ci szwadron???

W tym czasie usłyszeliśmy wszyscy tętent galopującego szwadronu... z kierunku krytej ujeżdżalni.

W słabych jeszcze promieniach wschodzącego słońca, jak horda tatarska.... wpada... 3ci szwadron....

Foma, - zdenerwowany, czerwony jak rak polny, ciągle w galowym mundurze i niedopasowanej furażerce, na rozjuszonym koniu... zatrzymał rozhukany szwadron.... a zdziwionym wzrokiem - jak by pytał: - co to jest?

- Dlaczego tak późno panie rotmistrzu?... w jakim pan stroju???

- Ja, a.... ja byłem pierwszy panie pułkowniku!

- Gdzie pan był...?

- Na placu.... koło krytej ujeżdżalni!

- Pan chyba.... nieprzytomny? a co mówi instrukcja alarmowa???

- Znam instrukcję - „A" panie pułkowniku,...

ale... gdy wyjeżdżałem od stajni mego szwadronu.... ktoś krzyczał, że.... zbiórka.. tam!

– Pan chyba jeszcze.... był na balu... panie rotmistrzu,! – a ten strój???

– Gdzieś zginął mój ordynans, a ja.... nie mam klucza od mieszkania!!

Pułkownik machnął ręką.

– Uwaga! – dowódca Brygady z prawej! – podał adjutant.

Marsz Brygady (3go pułku Szwoleżerów^x) i raport.

– Pułk maszeruje do wsi X – szybkość 8 km/godz. – będę czekał we dworze pana T.! i dowódca Brygady wsiadł do czekającego powozu i pojechał.

Dowódca pułku podał komendę:

– Pułk.. kolumna marszowa trójkami – za mną m.a.a.r.sz!

Gdy pułk wymaszerował za miasto – doszedł do nas sygnał „rozkaz" grany na trąbce: „odtrąbiono... wolno palić – dowódcy szwadronów... do mnie!

x we Brygady był 3 p. szwoleżerów

Wszyscy dowódcy szwadronów pogalopowali do przodu. Przepisowo obstawiliśmy dowódcę pułku, który nie przerywając marszu zaczął mówić:

— Proszę panów! - alarm zarządził dowódca Brygady.... jedziemy do pana T., on już pojechał do domu i będzie nas oczekiwał. Zapowiada się huczna zabawa, ale.... zostało popsute nasze święto pułkowe.... przecież na sali w kasynie zostało wiele gości, który do pana T. nie pojadą....

— Bardzo nieprzyjemna sprawa.... pan pułkownik dowódca Brygady.... jakby to powiedzieć.... „przeczulonił", ale my.... jako gospodarze?... jak wyglądamy???

Medytując nad tym „przeczulonionym alarmem", - jechaliśmy dalej.

Pułkownik był zaskoczony i szczerze zmartwiony wybrykiem dowódcy Brygady.

— Co to było z Tobą.... Toma?

- Jakiś.... drań, panie pułkowniku krzyczał zupełnie wyraźnie, że.... zbiórka pułku, koło.... krytej ujeżdżalni,.... nie przypuszczałem

że kogoś trzymają się takie... gałgańskie żarty.

– I ty nawet nie domyślasz się.... kto to mógł krzyknąć???

Niejznacznie popatrzyłem na Leszka. Ta szelma... jakby nigdy nic, – twarz jak posąg,... nie drgnie ani jeden muskuł.

– Głos, – skierowujący mnie..... usłyszałem od strony 4go Szwadronu...!

– Od strony... 4go... szwadronu??? – co ty na to – Leszek? – pułkownik pilnie popatrzył na Leszka.

– Jeżeli... powiem,.. że to... nie ja – to i tak.... pan pułkownik mnie nie uwierzy!....

– Swołocz!... zasyczał Foma,.. a my wybuchnęliśmy śmiechem.

– Po coś to zrobił?

Leszek podrapał się po brodzie....

– Bo,.. on chciał być... pierwszy, i to... w szaszkach i sztybletach!!!

– Teraz,... to już panie pułkowniku...
nie wytrzymam..., teraz to mu skręcę nogę!!!

Toma był naprawdę zły.

Około godziny 10ej dotarliśmy do dworu pana T., który uroczyście spotykał przed bramą.
Kiedy to zrobił?- niewiem, ale dwór był przygotowany do przyjęcia licznych gości.

Oficerowie pozostali we dworze, a szwadrony pod dowództwem podoficerów poszły na wieś.

Pan T. zmobilizował chłopów, którzy serdecznie, gościnnie i z radością spotkali ułanów.

Zmobilizowane pojazdy pułkowe i okolicznych ziemian przywieźli wszystkich gości z naszego kasyna.

Dowódca Brygady i dowódca pułku zaprosili gości za „zakończenie balu",–
potem,... rozpoczęła się staropolska zabawa.

My,- u pana T., a nasze wojsko u chłopów na wsi,... bawiono się do rana.

— „ —

„Militari W.P." w Hrubieszowie r. 1934.

Mistrzostwa W. P. w Hrubieszowie odbyły się pod znakiem „kąpieli".

Organizatorem tej wielkiej imprezy w tym roku była nasza 17ta Brygada Kawalerii pułkownika Stefana Hanka-Kuleszy.

Organizacja Mistrzostw dała się nam wszystkim dobrze we znaki. Trzeba było przygotować wszystko dla około 120 jeźdźców zawodników, sędziów, gości, reporterów, koni i t.p.

Organizację spraw technicznych zawodów, t.j. budowę terenów prób – dowódca Brygady powierzył oficerowi z 24-go pułku Ułanów – majorowi Bukrabie, a do pomocy dodał – mnie, (pułk 24 ułanów wchodził w skład naszej Brygady)

Organizacja prób A i C nie powodowała żadnych trudności, odbywały się bowiem na placach koszarowych, które do tego w każdym pułku kawalerii były

doskonale dostosowane, a potrzebny sprzęt, był na miejscu.

Gorzej było z wykonaniem próby „B" - trasy przebiegów terenowych.
Trzeba było wybrać odpowiedni teren na dystansie do 30 km. i pobudować około 25 przeszkód, dla 6 ciu kilometrowego „biegu na przełaj."
– Słuchaj Sławek! – ty znasz tu doskonale teren, – mówi do mnie mjr. Bukraba (jego pułk stacjonował w Kraśniku),
– jedziemy w taki teren, który ty uważasz za odpowiedni i najdogodniejszy do tej próby „B"

Wskazałem majorowi kilka wariantów – objechaliśmy wszystkie, tracąc na to 3 czy 4 dni.

W reszcie teren trasy przebiegów próby „B" – ustalony, – ale ja miałem zastrzeżenia.
Chodziło o to, że mjr Bukraba wybrał teren na 6 cio kilometrowy przebieg tak, że trasa przebiegała w pewnym miejscu przez łąkę

Str ~~455~~

(wygon) nad rzeką Hucwą.

Trasa ta była rzeczywiście dobra, rzeźba terenu zupełnie odpowiadała wymaganiom. Nie podobał mi się odcinek wynoszący jakieś 600-700 metrów przebiegający właśnie przez ową łączkę.

Wiedziałem bowiem, że w wypadku deszczu łączka rozmiękła, a w wypadku ulewy - rzeka Hucwa występuje z tym miejscu ze swego koryta i bardzo szeroko rozlewa się.

Majorowi podobał się naturalny duży rów przebiegający w poprzek tego kawałka łączki i wpadający do Hucwy.

Nawet podczas suszy, rowem tym stale przeciekała woda, - zasadniczo był to mały dopływ Hucwy.

Rów ten mamił każdego jeźdźca sportowego, - był poważny, ale „smaczny", - tego rowu nie mogła ominąć żadna „dusza jeździecka".

Często skoków przez ten rów - uległ oczywiście i mjr. Bukraba.

– Przecież to kapitalny rów, zachwycał się.
– Słusznie, panie majorze! – my go zawsze skaczemy, ale.... jeśli zacznie padać?
Starałem się wytłomaczyć ewentualne niebezpieczeństwo.
– W lipcu?... i padać? – to chyba niemożliwe,... a jakiś tam drobny deszczyk... nie zaszkodzi!... Ale, na wszelki wypadek poradzimy się dowódcy Brygady, – niech zadecyduje!

Na prośbę majora przyjechał płk. Kulisza (kwatera i sztab 17 B.K stacjonował w Hrubieszowie na terenie naszego pułku.
Pokazaliśmy mu cały odcinek trasy „B", – koło rowu zatrzymał się, popatrzył:...
– Doskonały skok! a no Sławek... skacz!
W tym stanie, rów ten dla dobrego konia nie był groźny. Siedziałem na jednym ze swoich koni sportowych, – oczywiście skoczył doskonale.

– Czegoż wy chcecie od tego rowu?
– Panie pułkowniku! porucznik melduje

że w wypadku deszczu, łączka rozmiękła, a w wypadku ulewy zostaje zalana.... trochę niebezpieczne!
– Zalewa?... ja tego nigdy nie widziałem, a... o deszczu i to taaakiem... i w lipcu? – nie ma obawy.
Ten, kto jeździ z „sypialni... do gabinetu" – napewno nie widział zalanej łączki; – pomyślałem, ale grzecznie zameldowałem:
– Były wypadki, że zalew pokrywał rów i wtedy go nie widać, a na łące jezioro – panie pułkowniku!
– E.e.e – to wiosną, lub jesienią, ale ... w lipcu? Nie ma gadania... trasę zatwierdzam!
Teraz już żadne moje wywody... nie pomogą, a może... rzeczywiście deszczu nie będzie?
Mój „militarysta", koniec moich kolegów z ekipy naszego pułku, – rów ten znają doskonale – skakały go w różnych warunkach atmosferycznych, a reszta... niech się topi...

uważić czego!
Więcej nie było na ten temat dyskusji. Jeden tylko „stary wyga" Leszek Jurkowski miał te obawy:
– Słuchaj Sławek! a jeśli wyrżnie dosza?
– Co się martwisz?, – zabawimy się w marynarzy!

Budowa trasy przebiegów i inne prace organizacyjne – ukończone. Nadjeżdżają zawodnicy – przyjechali sędziowie. wraz z majorem Adamem Królikiewiczem[x]

Dwa dni przed zawodami, komisja techniczna w składzie: płk. Kulesza, płk. Dworak dca 24go pułku Ułanów, ppłk. Pietraszewski – zca dcy 19go pułku Ułanów, sędzia główny major Adam Królikiewicz, sędzia major Lewicki – jedzie oglądać trasę próby „B".

Major Bukraba i ja – konno, by na oczach komisji przejechać odcinek „C" t.j. odcinek „biegu naprzełaj", – ja jako zawodnik – na innym koniu.
Przejechaliśmy całą trasę – bez żadnego „ale".

Rów na łące – szczególnie komisji bardzo się podobał, – nie znali oni miejsco-

x Mjr Adam Królikiewicz – as jeździectwa polskiego i świat.
1923–1939.

wych warunków terenowych, dlatego łączka i rów nie budziły żadnych wątpliwości. Ja - nie odezwałem się ani słowem, - swój obowiązek spełniłem meldując swoje obawy dowódcy Brygady, który tu był gospodarzem i organizatorem, a teraz - wobec komisji - takowych podnosić nie mogłem - byłoby to bardzo nie „fair" w stosunku do mego dcy Brygady i majora Bukraby.
Trasa została ostatecznie zatwierdzona.
Teraz moim zadaniem było: - modlić się by nie padał deszcz, - bo i ja przecież jadę jako zawodnik, a jeśliby padało - to jechać z... „pieprzem"
Zbliża się pierwszy dzień zawodów.
W koszarach pułku i w mieście ruch, jakiego Hrubieszów nie widział wcale, albo bardzo dawno.
Barwne rogatywki ułańskie, eleganckie szwoleżerki i kepówki - snują się po mieście, zapełniają skromne i ciasne lokale hrubieszowskie, a za nimi latają

zachwycone oczka .... nawet nie brzydkich hru-
bieszowianek i okolicznych przedstawicielek ziemi
Lubelskiej.

Każdy z nas ma u siebie gościa - cieszyli-
my się tym bardzo.

„Militari" - z jego hałasem, kłopotami, nie
przespanymi nocami - przyniosł dużo cie-
kawych, miłych i przyjemnych wrażeń.

W tym ogólnym „kotłowisku" nikt nie
myślał o pogodzie, - jakoby nie było - za-
wody odbędą się.

O możliwości niespodzianki na „rowie" nikt
nie myślał, ale mnie - rów ten spędzał z
powiek i tak krótki sen - stale zaglądałem
do pokoju, w którym wisiał barometr.

Ku memu przerażeniu - przed pierwszym
dniem zawodów, t.j. przed dniem próby „A,"
barometr.... spadał,... na niepogodę....

Wieczorem tego dnia wpada do mnie do
domu Leszek,... na mundurze i rogatywce
znać krople deszczu.....

- Patrz Sławek, - psia krew, będziemy
pływać!

Odechciało się nam i jeść i spać.
Przegawędziliśmy z Leszkiem prawie do rana, ale żadnego ratunku nie wyczarowaliśmy.
Jeżeli nawet będzie padać i jutro - zawody odbyć się muszą - ale jak skakać ten rów?
Rano, - w dniu próby. A" wprawdzie nie padało, ale deszcz... wisiał w powietrzu. Na dobre rozpadało się po południu, tak, że zawodnicy dalszych kolejnych numerów - wracali zmoczeni do „nitki".
My z Leszkiem - mieliśmy kolejność niższą, dlatego odrobiliśmy próbę - na sucho. Wieczorem już nie padało, a... lało.
Już się ściemniało jak przyleciał do mnie major Bukraba:
- No... do cholery!... nakrakałeś ty tego świństwa!-... pada!
- Nie pada panie majorze, a leje! Jedziemy do rowu, zobaczymy co się tam dzieje?
Wiedziałem, - co się tam dzieje? Obrzeże, jakie wyrzeźbiliśmy, były... okropny. Łączka koło Kurury już prawie zalana, a brzegów

nowu prawie nie widać. Rów zaznacza się tylko silnym prądem wody uciekającej do rzeki.

Major Bukraba milczał, stał ponury i drapał się za uchem.

Postanowiłem trochę go podenerwować:–

– Iść w.... lipcu? panie majorze! Może pułkownika Kulerę... tu przywieziemy, a.... może by tak... straż pożarną i.... pompami?

– Idź do djabła!– syknął major i popatrzył na mnie tak, jakby chciał kogo zamordować.

– Okazuje się, że czasem dobrze by i młodszych posłuchać!– dodał już łagodniej.

– A może przestanie i... jutro będzie lepiej?

– Jutro... będzie jeszcze gorzej, panie majorze!

– Jeszcze słowo.... i wyrzucę cię z bryczki!– zagrzmiał major.

– To... nie naprawi sytuacji!– panie majorze, a ja doskonale dojdę do domu piechotą – tu nie daleko, ale pan major.. sam nie trafi!– roześmieliśmy się obaj serdecznie.

Ani modły, ani prośby, ani zaklęcia nie pomogły. Nad ranem deszcz ustał, przecierał

się ładny dzień, ale... ale na łące „Buszujące morze", rów zalany, tylko smutnie, leniwie powiewają przemoknięte chorągiewki na lancach znaczących miejsce do przeskakiwania rowu - wyglądały... jak - „boje" na morzu.

Wszyscy, na czele z pułkownikiem Kuleszą - byli przerażeni.

Początek próby, według planu miał odbyć się o 6ej, ale w nadziei, że woda spadnie - przełożono początek - na 8ą.

Nie wiele to pomogło, rów zalany, a spadku wody - nie widać. Dalsze odkładanie początku przebiegów już nie było możliwe - próba nie zostałaby zakończona w tym dniu.

Zawodnicy klęli, byli przerażeni - jak to skakać? koń wogóle rowu nie zobaczy.

Tłumy „kibiców" - swoich i przyjezdnych, oraz zawodnicy mający wyższe numery - obsiedli pagórki w pobliżu „nie widocznego" rowu.

Jako pierwszy - jechał doskonały jeździec z 12go pułku Ułanów Podolskich, - mały, jurny, miły i sympatyczny, lubiany przez wszystkich rotmistrz Jan Kanty Zborowski - na doskonałym koniu.

Przed startem - minę miał straszną.

- Jak... tu skakać?! - przecież rowu nie widać!

Podgadywaliśmy mu jak kto mógł, ale Jan, - przez jakiś czas stał zamyślony, a później zawołał:

- Ekipa 12go p. ułanów - do mnie! - był on jednocześnie instruktorem i starszym ekipy.

Gdy podeszli jego koledzy - wydał krótki rozkaz:

- Rozbierać się!

Rozbierali się - on pierwszy. Rozpoczęły się żarty, dowcipkowanie, ale Jan Kanty... nic.

Poszli przez zalaną łączkę oglądać rów. Nic im to oczywiście nie pomogło - wywołali kupę śmiechu, ale Jan Kanty - jak Jan Kanty, - wy sobie swoje, a ja.. sobie swoje.

- Numer 1szy - pan rotmistrz Zborowski - przygotować się do startu! zagrzmiał głos

sędziego startera.

Biedny Jan Kanty ledwo zdążył się ubrać.

– Numer 1 – na start!

Ponury, jak ciemna noc, rotmistrz Jan Kanty Zbrowski.... podjechał do startu.

– Uwaga!... sędzia podnosi chorągiewkę, i... zachwiała... chorągiewka opada.

Jan Kanty.... pojechał.

– Ale... ja wam pokażę! syknął przez zęby, – niewiadomo do kogo.

Co pięć minut ruszał następny kolejny jeździec – jechali najpierw odcinek „a" – bieg ścieżkami i drogami 18 km.

Początek i koniec tego odcinka był przy starcie biegu ~~próby~~ odcinka „b" – biegu naprzełaj.

Wszyscy oczekiwali niecierpliwie, kiedy ukaże się z odcinka „a" pierwszy jeździec i ruszy na odcinek „b" – na trasie którego był założony rów.

Nikt z kibiców ze swego miejsca nie ruszył się... czekano na Jana Kantego.

Woda na łące niby trochę spadła, ale tak nieznacznie, że sytuacja na rowie nie poprawiła się.

Ukazuje się wreszcie jeździec №1 - kończy odcinek „a", chwila przerwy oddechowej dla konia i start na odcinek „b". Feralny rów był 18° przeszkodą.

Jan Kanty startuje. Jego koń w doskonałej formie, przebieg odcinka „a" nie zmęczył go. Pierwsze przeszkody, - widoczne z pagórków - skacze doskonale.... ale co będzie na rowie? Jeździec niknie na dalszej trasie.

Podniecenie „kibiców" i „naczalstwa" wzmaga się ... za chwilę Jan Kanty... musi tu nadjechać, i... otóż ukazuje się... galopuje na przeszkodę №17, skacze doskonale i wpada na zalaną łąkę.

Doskonały jego rumak, dwukrotny militarysta, ulubieniec Jana - galopuje po wodzie jak szatan, rozbryzgując wodę daleko od siebie

236
str. ~~468~~

Zbliża się do przeszkody N 18 - do rowu, są już blisko chorągiewek... poczciwy kasztan nie wie - co go czeka... śmiało i raźnie galopuje... jeszcze chwila i... wpada do rowu.

Obaj zanurzają się pod wodę, ... za chwilę ukazują się na powierzchni, ale już rozłączeni.

Zdezorientowany, wystraszony koń rzuca się, potem spokojnie płynie rowem w kierunku rzeki, - ma do niej jakieś 30 m. później rzeka ze 30 m. - w linii prostej to najbliższa odległość do brzegu, i... koń do niego dąży.

Jan Kanty... nie umiał pływać;.. zdążył jednak uchwycić kasztana za ogon i teraz nie mogąc kierować koniem, płynie za nim.

Nim ktoś zdążył zorientować się i przyjść biedakowi z pomocą - byli już na środku Hawry.

Silny konisko pokonał lekko rzekę i spokojnie wyszedł na brzeg, ciągnąc za sobą, kurczowo trzymającego się za ogon - Jana Kantego Zbrowskiego - rotmistrza 12go Pułku Ułanów Podolskich i... to wszystko... na oczach... całej Kawalerii Polskiej.

Wypadek wywołał serdeczne współczucie, ale i furę śmiechu.

Zły, zrozpaczony, mokry, bez rogatywki - (utonęła w rzece) Jan Kanty popuścił koniowi popręgi siodła, wyjął wodze i ze zwieszoną głową... pomaszerował w kierunku koszar.

- Kanty, - nic tam człowiek, - albo...

- Jasiu, - admirał Mokry potrzebuje kapitanów łodzi podwodnych, - krzyczeli łobuzy - koledzy.

Czekał ich tu podobny los, ale... podgadać można i... trzeba, taka już natura jeździecka.

Na rowie tym działy się... cuda, około 100 „mokrych" jeźdźców jakoś przeprawiło tę

przebyli.

Ja, - znając ten rów doskonale, obrałem inną taktykę: - dojadę do rowu w skróconym kłusie i choć koń brzegów nie zobaczy, to w tej szybkości wyczuje ... niech nawet skacze z miejsca, ... był skoczyb.

— Dobrze Janeczku! poklepał mnie po ramieniu Henio Dobrzański (Hubal) i kazał wszystkim kolegom naszej ekipy - tak właśnie jechać na rów.

Przebyłem „piekielny rów" możliwie. Mój - „Uczony" skoczył z miejsca, wpadł do rowu zadem, wyskoczył trochę padając na nos, ale pogalopował dalej. Tak zrobili i moi koledzy pułkowi - rów przebyli znośnie.

Inni zawodnicy, którzy podpatrzyli naszą taktykę - prześlizgnęli się przez rów jako tako, ale z innymi obiekty się udało.

Woda nie spadała.

Wykąpał się także ostatni jeździec ntmnty

Wacław Totjew z ekipy kawalerii K.O.P. (gruzin - oficer kontraktowy).

– A cztob was szlak trafił... hrubieszowiaki! – tak i utopić się można! – psioczył gramoląc się z rowu... mokry i zły.

— " —

Niech żyje cudny arab „Chart".
r. 1934

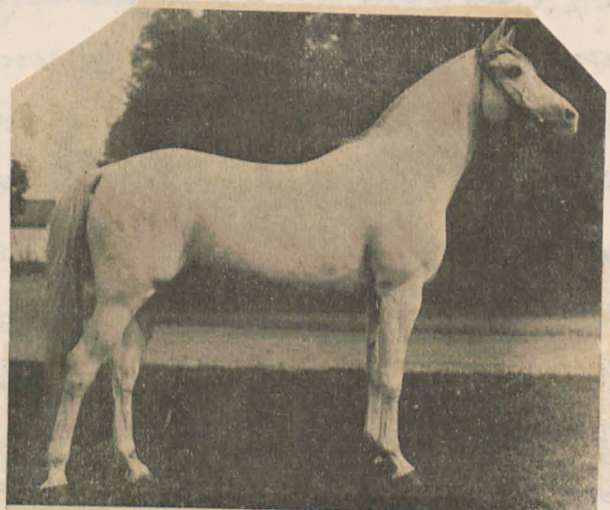

FETYSZ (Bakszysz — Siglavi-Bagdady), og. siwy, cz. kr. ar., 1924, w Stadninie Państw. w Janowie.

„Chart" był bardzo podobny do „Fetysza".

Stacjonujący w Włodzimierzu - Wołyńskim 27 Pułk Artylerii Lekkiej - chyba jeden z

wszystkich pułków artylerii lekkiej - mógł poszczycić się dużymi sukcesami w sporcie konnym.

Na marginesie wyjaśniam, że w tym okresie pułki artylerii lekkiej nie były zmotoryzowane - posiadały trakcję konną.

Tak się w tym sympatycznym pułku złożyło, że i dowódca pułku i prawie wszyscy oficerowie pułku ~~pułka~~ byli zawołanymi „koniarzami" i prawie cały korpus oficerski doskonale jeździł konno.

„Duszą" jeździectwa sportowego pułku był wspomniany już „Lauka" - kapitan Mołoszkiewicz, który był „lisem" w biegu myśliwskim o nagrodę państwa W. w Hrubieszowie.

Zawody konne organizowane przez 27 P.A.L. były zaliczane do poważnych i mających swój „ciężar gatunkowy".

Wysoki poziom zawodów, gościnność gospodarzy, doskonały tor hippiczny, fachowa strona techniczna, dobre zakwaterowanie

i poważne nagrody - ściągały do Włodzimierza dużą ilość jeźdźców wojskowych i cywilnych z całej Polski.

Najpoważniejszą próbą był konkurs w skokach przez przeszkody o przechodnią nagrodę 27 P.A.L. - srebrna miniaturowa armata i odpowiednia kwota pieniężna. O nagrodę tą biły się najlepsze konie.

Tak się złożyło, że przez dwa kolejne lata - ja byłem zdobywcą tej nagrody - jeszcze raz i .... nagroda stanie się moja.

Konkurs ten trzeba było przebyć w tym samym dniu na dwóch koniach.

Ambicja artylerzystów nakazywała za wszelką cenę nie oddać tej nagrody na stałe. Zapowiadała się zażarta walka.

Przez całą zimę i wiosnę - Louka zamęczał swoich podopiecznych artylerzystów i koni. Przygotował ich do zawodów rzeczywiście dobrze - jak my to nazywamy „wystawił" 4ch jeźdźców i 8 koni - jak bryłę, - sam mówił: - no.o.o, w tym roku następ-

Str. 477

łem moich „ szyzoyków" tak, że....
„ mucha nie usiądzie".
Ale i nas przez całą zimę „ostrzył" nie kto inny, jak major Henio Dobrzański. Ostrzył specjalnie właśnie mnie - no bo teu trzeci raz... trzeba wygrać.

Miałem wówczas aż 5 koni sportowych: jeden na „ Militari", dwa na konkurs 27 P.Ał'u i dwa własne na inne zawody.
Trzeba było być rzeczywiście fanatykiem i mieć żelazne zdrowie, aby temu podołać, - przecież trzeba było równocześnie pełnić służbę w szwadronie.

Fanatykiem byłem, zdrowie dopisało, podołałem, - ale za to... nie nauczyłem się grać w.... brydża!!!

Ustaliliśmy z Heniem, że do tego konkursu przygotujemy konie: „ Jeś-Olimpię" i „ Charta" stanowiące jakby „ drugi garnitur" (były to konie stajni dowódcy pułku - mnie przydzielone czasowo)

Był to ciekawy dobór:
„Zoja - Olimpia” - 12 letnia, ogromna, gniada klacz, mająca 1.70 m. wzrostu - wysokiej pół-krwi angielskiej; - utalentowany skoczek, - do innych prób - nie nadawała się, a „Chart” 10 letni siwy (biały) arab czystej krwi, mały jak każdy arab - około 1.50 wzrostu, o pięknym eksterierze i stalowych nogach - doskonały skoczek, - skakał przeszkody wyższe od siebie - w koniu tym siedział, - „djabeł i sprężyna”

Wiele śmiechu wywoływał widok, gdy mój luzak jechał na stępowanie na „Zoji”, a obok prowadził „Charta”.
Wyglądało to tak, jakby szły - matka z rocznym źrebakiem, ... ale „źrebak” też skakał nie gorzej od „matki”.

„Chart był jedynym arabem pod moim siodłem sportowym - ale tylko dlatego, że drugiego takiego araba - nie spotkałem nigdy.

Zasadniczo konie rasy arabskiej, ze względu na ich mały wzrost i dlatego małe możliwości sportowe - nie były używane w jeździectwie

„Chart" ze swoimi zdolnościami – stanowił rzadki wyjątek.

Na marginesie wyjaśniam, że konie czystej krwi arabskiej były i są w Polsce hodowane z przeznaczeniem do wzmocnienia i uszlachetnienia hodowli koni pół krwi innych ras, a nie jako konie wyścigowe.

Z przyjemnością także zaznaczyć muszę, że typ koni arabskich czystej krwi hodowany w Polsce przed 1939 rokiem i obecnie – jest uważany powszechnie za najlepszy w Europie.

– " –

Zbliża się czas oczekiwanych zawodów w 27. P.H.L'u – jedziemy do Włodzimierza.

Z Hrubieszowa do Włodzimierza tylko około 30 km. prowadzimy konie marszem podróżnym.

Pod wieczór wjeżdżamy w bramę 27 P.H.L, spotyka nas duża grupa oficerów, którzy wracając ze stajen znaleźli się przy bramie

do str. ~~475~~ 245

„Olimpia-Loja" i „Chart."

przypadkowo:-

- Czołem! - Czołem! - Serwus!

Zsiedliśmy z koni - witamy się.

- Ty, Sławek podobno wziąłeś na „ambit" i tym razem chcesz oddać nam nagrodę?- mówi jeden z artylerzystów, a z grupy oficerów dochodzą nas inne głosy:-

- Ta... cholera znów „Lojś" i „Charta" przyprowadził!...

- Ja... pewno wycofam się z konkursu!- odpowiadam z poważną miną.

Podtrzymuje mnie Leszek Jurkowski i też z poważną miną dodaje:-

- Sławek... już „wysiadka"!... jego konie nawet z „pieca na łeb" skoczyć nie mogą, no... i jest on przecież... dobrze wychowany.... aby trzeci raz „obrychrzyć"... miłych sąsiadów!!!

- Ty... draniu!... gadaj do lampy,- nie jesteś lepszy od... niego!- odgryzają się artylerzyści.

Wieczór spędzamy jak zwykle w kasynie

oficerskim artylerzystów.

Szum, gwar, rozmowy, a temat jutrzejszego dnia - na pierwszym miejscu.

Śród przybyłych jeźdźców wyszukujemy najgroźniejszych, a artylerzyści przyjęli taktykę zastraszania - zorganizowali słowny atak psychiczny.

- Ale... Lowka parcours wykombinował - taką „astrolabię" jutro zafunduje, że wam... wodzone teściowe nie pomogą, tylko... pakować manatki i... do domu!

Nie byliśmy wrażliwi na ten ich „atak psychiczny," a Henio Dobrzański z uśmiechem odgryzał się: -

- Lowka ustawi „astrolabię," a my jemu ... wypiszemy... testament!

Na drugi dzień od rana Lowka ustawiał tę swoją „astrolabię," t.j. parcours, na który do czasu ogłoszenia wchodzić nie wolno - przypatrujemy się z za kanałów. Buduje starannie, ale rzeczywiście same „wyszukane" przeszkody.

- Chodźmy do miasta na kawę! mówi

Henio, - i tak nic mu nie pomoże!

Na godzinę przed rozpoczęciem konkursu na placu toru przeszkód ukazała się tabliczka:

„Tor przeszkód otwarty.”

Znaczyło to, że teraz już można wejść pieszo na tor i oglądać przeszkody.

Skrupulatnie oglądamy każdą przeszkodę i najazdy na nie. Przeszkody od 1 do 8ej - normalne, 9ta - niech ją djabli wezmą - szereg, ale jaki? -

drąg pojedynczy z hurdą wys. 1.20, oxer 1.40, murek 1.40 i oxer na rowie 1.40 - ustawione na 8 metr.

Nie byłem zachwycony tym szeregiem - „Zoja” napewno przejdzie dobrze, ale ten mały „lajkonik Chart”?... ta przeszkoda nie dla araba!

W szeregu tym najgorsza była przeszkoda ostatnia - oxer na szerokim rowie i stojący po murku, - przyznam się, że przeszkody te ... bałem się.

Idziemy dalej, - ... przeszkody normalne, aż do 15ej, a ta 15ta - „wypociny” Lewki M.

250
str ~~480~~

Zdawałoby się, że nic, ... ale co było podczas konkursu? Na podwyższeniu stały zwyczajne malowane ule, wzięte wprost z pasieki - wysokość 1.50, no i 16ta przeszkoda - ostatnia - tradycyjny „triple-bar".

Ule... nie przeraziły mnie, ale... szereg?
Ten cholerny „kanonier" - tak nazywaliśmy kapitana Moleszkiewicza... „wyastrolabił"!

Zdaje się, że... nagroda... pójdzie koło nosa.

- Durny „cep" artyleryjski! - wymyślał Leszek.

Jak zwykle, - nie padał na duchu Henio: -

G...o, nie przeszkoda, żadna „astrolabia" - na kozie przeskoczę, a... dla naszych koni... mucha!

Pierwszy i ostatni raz w życiu, trochę się skrzywiłem na Henia, ale jak pomyślałem... jakie On jeździł „parcoursy" - zawstydziłem się.

Zbliża się czas rozpoczęcia zawodów - szefowie ekip losują kolejność startu.

str. 482

„Zoja" - dostawcze - ruszyła sama, po trzech „foulé" stanęła na swoje tempo i dając się dość łatwo kierować „na jedwabnych wodzy,"- zaczęła... „pisać."
Nie skakała,.. a fruwała. Nadjeżdżam na „astrolabiczny szereg"... postawiła uszki, dodała, i... szereg... czysty.
Zawahała się lekko przed „Ulami," ale była to sekunda, lekki nacisk łydek i „Zoja" była już po drugiej stronie przeszkody, - przeszkoda ostatnia, to już zabawka...

Huragan oklasków... „Jury" podaje wynik:
- „0" p.k. czas... (nie pamiętam, ale bardzo krótki)
- Dobrze... Staszek! - podbiegli do mnie moi.
Zrozumieliśmy, że ustanowiłem na „Zoji" minimalny czas przebiegu dla pierwszego nawrotu,.. pobić go... będzie trudno, ale ... jeszcze 36 ciu jeźdźców! Czyż uda się komuś przejechać parcours na czysto i w lepszym czasie? chyba... nie?
- Już połowa nagrody... w kieszeni! żartuje Marian.

Rozprzęgałem już konia, gdy Henio wrócił z losowania:-

– Stasiek!... jedziesz jako №1, to... dobry znak

Może i dobry znak, ale ja tego się nie spodziewał. Na twarzach artylerzystów i innych poważnych konkurentów - ukazały się uśmieszki zadowolenia.

– Wylosowałem ci numerek... co? śmiał się Henio

Machnąłem ręką. - teraz już niema czasu na rozważania, - pierwsza startuje „Zoja".

Miałem jeszcze kilka minut czasu, skoczy dwie, trzy przeszkody na rozprężalni,... czuję, że „kobyłka" - „ma dryg".

Koledzy pułkowi, panie oraz pułkownik - jak zwykle chodzą bladzi,... tylko Henio uśmiechnięty

– A ja ci... powiadam, że... wygrasz!!!

Coś jeszcze mówił, ale sędzia starter zasygnalizował

– №1... na start!

Nie myślałem już o niczym,... tylko... „wczuwałem" się w „Zoję",... wyczułem, że jest w doskonałej formie, a ona... jakby wyczuła i mnie postawiła uszki i nasłuchiwała... wreszcie... sygnał... można jechać.

– Niech się teraz „pitolają" męczą! klepie się po kolanach Henio, – mówiłem tym „paskarzom" że nagroda... nasza!!!

A ja teraz więcej się denerwowałem niż przed startem i życzyłem każdemu konkurentowi... kraksy., no bo przecież jadę ~~na~~ Lustex ... „łaj-koniku"!

Konkurenci, podenerwowani moim przebiegiem jechali gorzej niż mogli, łapali „zrzutki"*, a przed przeszkodą z ulic, z niejednym działo się „kino"!

Dodziś nie mogę zrozumieć czemu ta przeszkoda tak nie podobała się wielu koniom?

Niebezpiecznym bardzo konkurentem, był por. Kiedacz z 15 p. ułanów z Poznania (poległ na „polu chwały" jako pułkownik pod Monte-Cassino we Włoszech) na swoim świetnym gniadoszu „Ramzesie). Wjeżdża na start (skrzywy jeździec - na cudnym koniu). spokojnie rusza, .. nam... stają serca, a on... skacze, ... czysto, .. czysto .. i tak, do ostatniej przeszkody.

Przestaliśmy oddychać... czekamy na głos Jury na ogłoszenie wyniku - wiemy że „czysty", ale jaki czas przebiegu? Sekundy czekania wydawały się latami... wreszcie głos z trybuny. Jury, a u nas...

*zrzutka = spadnięcie części przeszkody = 4 p.k.

serca wyskakują z mundurów. i wreszcie.. ulga... czas przebiegu Kiedacza... gorszy od mojego o 6 sekund.

Jak na skrzydłach lecę do „Charta". Ten cudny „laj-konik" denerwuje się. Chciałem jeszcze skoczyć jedną przeszkodę na rozprężalni, ale Henio nie pozwolił:-

– Nie skacz! – uspokój go, jedź stępa!

Wśród grona zawodników konkurentów byłemowi, który nie widzieli jeszcze „Charta" w szrankach, i nie znali jego możliwości, – ci ze zdziwieniem mówili:

– Co.o.o? on na tym „koniku" t.a.a.ki konkurs chce jechać? i ze zdziwieniem ruszali ramionami, a ja... czekałem zakończenia pierwszego nawrotu konkursu.

Wreszcie pierwszy nawrót... zakończony, „Juri"- podaje:

– Przygotować się do nawrotu drugiego – do tej pory prowadzi por. S. na kl. „Toja".

Za chwilę będę startował, „Chart" ciągle

do strony - ~~483~~ 255

Na zdjęciu oznaczony x porucznik 15 pułku Ułanów Kiedacz - rok 1934, a może 1932.
(ponieważ dawny porucznik kawalerii Kiedacz poległ już jako pułkownik pod Monte-Casino, innego zdjęcia znaleźć nie mogłem - umieściłem grupę, by czytelnik zobaczył tego szacownego oficera polskiej kawalerii).

nieznośnie denerwuje się, macha swoim ślicznym łbem, wyrywa do przodu, próbuje stawać „dęba"!
Uspokajam go jak mogę.
Wybryki te zobaczył Henio - podbiegł do nas, poklepał „charta" i zająwszy za wodze oprowadzał go kilka kół, ... „Chart" uspokoił się. Henio doprowadził go do wjazdu w szranki - czekamy na sygnał, a ... „czas ... wlecze się jak żółw" - dobrze, że teraz „Chart" uspokojony.

Sygnał, ... mój „laj-konik" zrozumiał co on znaczy, ... runął do przodu takim szczupakiem, że omal nie leżałem ... to byłaby „poruta"!

Jak mi Henio i koledzy opowiadali - na widok wyczynu tego „konika" publiczność i konkurenci zamarli, a „chart" czynił cuda.
Co czułem ...? - nie wiem, - czułem, że „fruwam"
Pełna świadomość poczucia rzeczywistości wróciła, gdy byłem już poza szrankami i ... zrazu usłyszałem huragan oklasków.
Na rozprężalni wpadłem w ramiona kolegów i przyjaciół.

Raptownie zapanowała cisza - „Jury" podaje wynik

„O punktów karnych, czas... (o 1½ sekundy... lepszy niż „Zoję")

Poczułem się jak Cezar... na murach Rzymu; teraz to już napewno nikt mnie nie pobije.

Drugi koń Kiedacza - słabszy od Ramzesa.

Mój „laj-konik" dumnie spacerował po rozprężalni, prowadzany przez luzaka.

Zebrała się koło niego liczna grupa jeźdźców i „kibiców." - podziwiali tego strojnego araba.

Dochodzą mnie rozmowy artylerzystów: -

- No i co? ten cholerny... Sandomski... wygra?

Słowa ich sprawdziły się. Nagrodę przechodnią 27go Pułku Artylerii Lekkiej - wygrałem... kolejno po raz trzeci.

Nie opiszę szalonej radości wszystkich z mego pułku, i ... zazdrości innych; my byliśmy radzi, - inni źli, ale wszyscy uznali i ocenili wyczyn, specjalnie „laj-konika" - „charta".

Uroczyste wręczenie nagrody tuż na placu nie zakończyło tego konkursu, ... został zakończony wieczorem ... na bankiecie w kasynie

oficerskim – tutaj miał być... nagrodzony „Chart.

Jak wspomniałem, przebieg tego „laj-konika" wzbudził powszechny zachwyt, a podchorążowie i oficerowie ze Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii, która również stacjonowała we Włodzimierzu – postanowili nagrodzić „Charta". Wymyślono dość oryginalny sposób – „Chart" – ma być nagrodzony na.... bankiecie.

Delegacja pań, oficerów i podchorążych Szkoły przyszli do mnie, by sprawę tą uzgodnić.
Chodziło o to, – czy „Chart" wejdzie do kasyna, do sali jadalnej – na wysoki parter?
Przeprowadziliśmy wizję lokalną,... schody nie straszne – wejdzie!

Ten oryginalny pomysł był trzymany w tajemnicy.
Bankiet rozpoczynał się o godzinie 20-ej – uroczystym obiadem, – obowiązywał strój wieczorowy.

Ja, – jako utajemniczony nie przebierałem się i na początek bankietu nie poszedłem.
O godzinie 19-ej kazałem osiodłać „Charta", lekko go przejechałem i o 20^{15} stanąłem się koło kasyna.
Utajemniczeni koledzy oficerowie oraz podchorążowie już na mnie czekali.

Osiadłem, poklepałem „Charta" po jego sterczącej

i w ryku podprowadziłem do wejścia do gmachu kasyna,... wszedł przez drzwi, spokojnie przeszedł hol, a przed schodami zatrzymał się; zebrani pomagiony chcieli pomóc, ale oklepany po szyji poczciwy konisko zaczął ma-darnie wchodzić po schodach.... wszedł.

Znaleźliśmy się w dość dużej sali z której prowadziły szerokie rozsuwane drzwi do sali jadalnej (w której teraz trwał uroczysty obiad).

„Chart" zachowuje się grzecznie. Ujęto go za wodze, a ja dosiadłem,.. ruszyłem kilka kroków – idzie spokojnie.

Uważnie i pomału rozsunięto drzwi – naciskam łydkami... idzie!

Spokojnie wszedł na salę, gdzie go spotkano marszem pułkowym, oklaskami i okrzykami zachwytu, (trochę nastraszył gdy trębacze zagrali marsz)

Sensacja i ogólny zachwyt. Obstąpiono nas, głaskano „Charta" ze wszystkich stron.

Pod „tusz" orkiestry nałożono mu wstęgę barwy artylerii ze srebrnym proporczykiem Szkoły.

Na zakończenie podniesiono mi puchar wina, który wypiłem siedząc na koniu – pod ogólny toast:

„Niech żyje cudny arab „Chart".

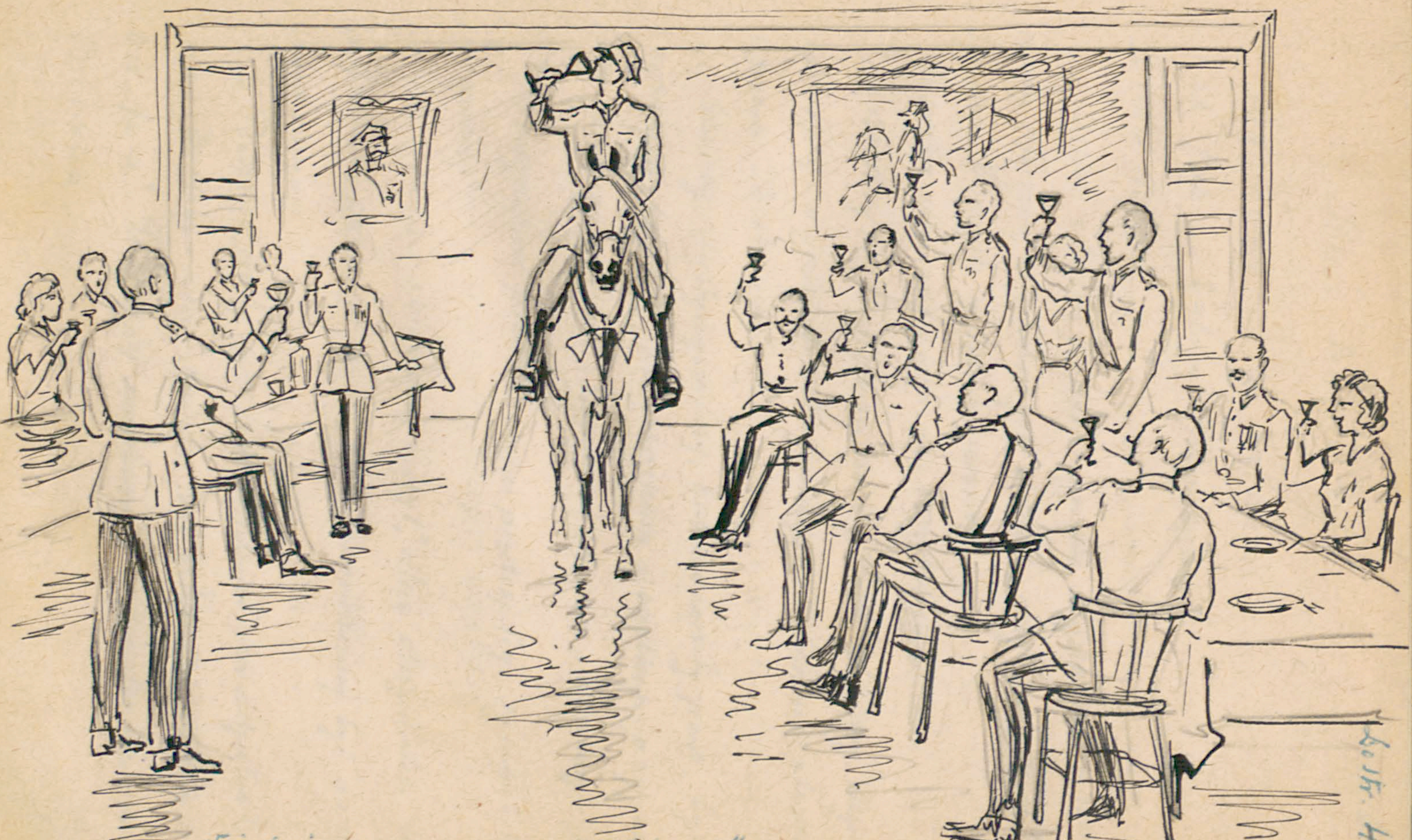

„Niech żyje cudny arab „Chart"

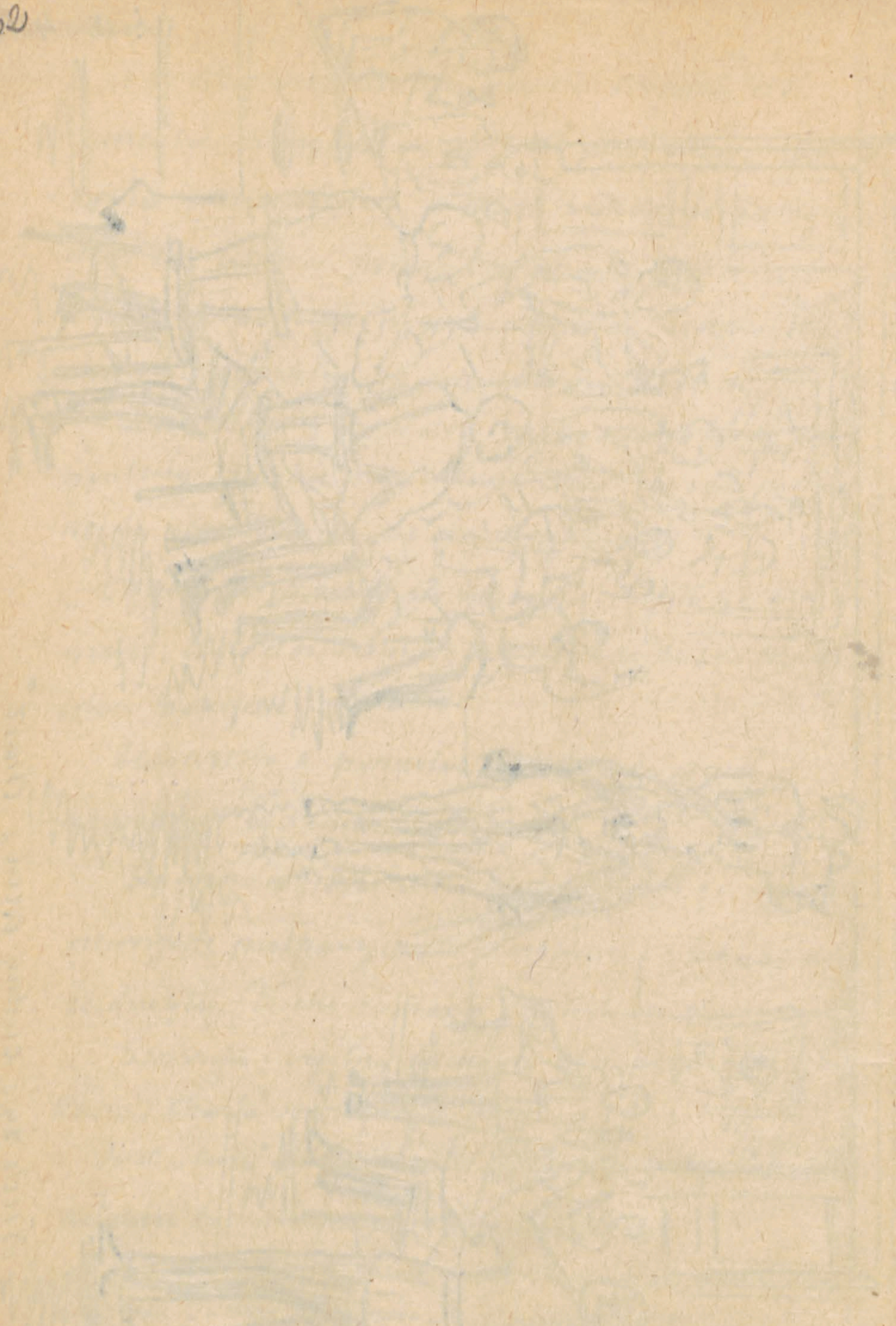

Dwór - księcia Pana.

"Wybieramy się do Trzeszczan!
Tak i tak... było w Trzeszczanach!
Książe mówił....!

Takie i temu podobne gadki słyszałem w rozmowach oficerów, w pierwszych dniach mego pobytu w 2 pułku Strzelców Konnych w Hrubieszowie.

Wkrótce dowiedziałem się wszystkiego.

Trzeszczany.... piękny dwór polski, gościnny, elegancki, zamożny, wspaniale utrzymany,... stanowił własność księcia Bielskiego.

Starszy, dystyngowany, bardzo miły pan, był doskonałym gospodarzem rolnikiem i wielkim przyjacielem naszego pułku, specjalnie oficerów „koniarzy" i jeźdźców.

Pragnąłem poznać czym prędzej tego sympatyka „koniarzy".

W spisie „składania wizyt", który otrzymałem od adjutanta pułku - ks. Bielski umieszczony był na pierwszym miejscu:

- Bardzo miły dom! - powiedział mi adjutant, - a pan Bielski - choć książe, jest człowiekiem prostym,.. bez „fum". Pułk nasz ceni bardzo dobre stosunki z panem Bielskim.

Obeszło się bez ceremonialnej wizyty.

Któregoś dnia jeździłem konno na wygonie w pobliżu koszar, przy drodze Hrubieszów - Trzeszczany. Na przejeżdżających drogą nie zwracałem uwagi, ale mimo woli zainteresował mnie jakiś elegancki powóz, zaprzężony w parę pięknych koni, który już od dłuższego czasu stał w miejscu, a obok powozu jakiś starszy pan, przyglądający mi się - pilnie.

Jeździłem dalej. W pewnej chwili widzę, że ów pan przeszedł przez przydrożny rów i maszeruje w moim kierunku.

Czego on chce? pomyślałem, a gdy zbliżył się na odległość możliwą do rozmowy - zatrzymałem konia.

Grzecznie podniósł kapelusz i uprzejmie zapytał:-

- Czy to pan jest tym nowym porucznikiem, który niedawno przybył do pułku?

- Prawdopodobnie tak, gdyż w ostatnim czasie tylko ja przybyłem do pułku.

- A to bardzo się cieszę - Bielski jestem!

- Już mi pan pułkownik mówił o panu - jest pan doskonałym jeźdźcem i fanatykiem konia.

- Jest mi bardzo miło, że mój nowy dowódca pułku ma o mnie taką opinię - przedstawiam się: porucznik kawalerii J. S.

- Od pół godziny obserwuję pana i widzę, że pułkownik... nic nie dodał!

- A ja właśnie... wybieram się do pana z wizytą!

- Proszę uważać panie poruczniku, że oficjalną wizytę... pan już odbył, a... do mnie uprzejmie proszę, tak... poprostu, będę rad poznać pana bliżej.

- Ja, chociaż sam nie jeżdżę konno - jestem prawie że fanatykiem jeździectwa i konia, - tak jak pan!

- A zatem proszę serdecznie do mnie, ... bez wizytowego stroju - czekam!

Pan Bielski z miejsca położył podwaliny - wielkiej przyjaźni.

Na drugi już dzień byłem w Trzeszczanach. Proste, miłe i serdeczne przyjęcie jakiego doznałem w domu pana Bielskiego - zaskoczyło mnie. Wiem z doświadczenia dawnych czasów, że zamożni

utytułowani panowie miewali takie, czy inne „fumy", – w tym jednak wypadku – właściciel Trzeszczan był sympatycznym i miłym starszym przyjacielem – był człowiekiem, bez „fum", a w jego domu można było się czuć swobodnie i przyjemnie.

Dwór pana Bielskiego był prawdziwą „pańską rezydencją" – ładny dom – prawie pałac, dobrze i elegancko utrzymany; budynki gospodarcze w bardzo dobrym stanie, produkcja rolna i zwierzęca na wysokim poziomie – służba folwarczna dobrze i w terminie opłacana, a czworaki duże, ładne i czyste.

Stosunki we dworze proste, ale utrzymane w pewnych ramach, których nie należało przekraczać.

Pan domu sam nadawał wysoki, ale prosty styl i „ton" bycia, ale wszystko to miało jakiś właściwy i przyjemny charakter. W stosunku do gości nie robił różnic – kto był przyjęty we dworze w Trzeszczanach – był mile widzianym gościem.

Przypadliśmy sobie obaj – do gustu.
W Trzeszczanach bywałem często i długo tam

przesiadywałem.

Pan Bielski rzeczywiście był fanatykiem jeździectwa. Rok rocznie organizował u siebie w Trzcinsanach - zawody konne, a ja mu chętnie i wydatnie pomagałem.

Przyjaźń naszą ukoronowaliśmy założeniem Hrubieszowskiego Klubu Jeździeckiego z siedzibą w pułku, który to klub zwany w skrócie „Hakajot" pomyślnie się rozwijał i w latach 1938-1939 stanął w szeregu czołowych klubów Polskiego Związku Jeździeckiego.

— " —

Lutek zawinił - ja odpowiadałem.

Lutek, to mój kolega pułkowy, porucznik Turasiewicz - wówczas (1930) dowódca Plutonu Łączności. On to właśnie przyczynił się do gniewu między dowódcą pułku - płk. Niemontowskim, a mną.

Przyczyniła się do tego także... kobieta, - żona pułkownika, przemiła i sympatyczna pani Zofia.

Do konfliktu, który trwał kilka miesięcy - przyczyniło się „hobby" naszych pań pułkowych - jazda konno.

W wielu pułkach kawalerii istniały już koła jeździeckie „Rodziny pułkowej", w naszym pułku - pułkownik jakoś

się wymigiwał, ale pod naciskiem swej żony, żony dowódcy Brygady - pani Kuleszyny - zgodził się, ... ale bardzo niechętnie.

Kolegów moich sprawa ta bardzo interesowała, było wiele amatorów na funkcję instruktora. Palił się do tego szczególnie Lutek T.
Był on pupilkiem pań - „damski zakrojczyk" nazywaliśmy go popularnie. Sam jeździł - ot tak sobie, ale... jeździć samemu, a... prowadzić jazdę pań, to... co innego!
Był on pupilkiem obojga p. Niemontowskich, a zatem... jazdę pań będzie prowadzić napewno Lutek! Sam on w to wierzył, napewno liczył na poparcie pani Zofii - już nawet przygotowywał się do „wysokiej funkcji", która nie była najgorsza, tym bardziej, że niezwykle tak się złożyło, że prawie wszystkie panie Rodziny Opiekuńczej 2 p. s.k. były ładne, miłe i eleganckie.
Funkcja instruktora jazdy konnej „takiej ekipy"! - uśmiechała się nie jednemu ....

— Ot, cholerny Lutek!... taki się wkręcił na instruktora pań... mawiano w pułku.

Aż tu pewnego dnia, ... na zebraniu koła

wzywa dowódca pułku... mnie.

W salonie kasyna zebranie organizacyjne, pełno pań i kilku naszych starszych oficerów.

Melduję się pułkownikowi.

– Siadaj!... wzywałem ciebie, bo widzisz w pułku zostało zorganizowane „Koło Jeździeckie Rodziny pułku", i po naradzie z panem płk. Sawickim,... na instruktora koła wyznaczam... ciebie!

Myślałem, że mnie „krew zaleje", ja i tak chciałbym dobę przedłużyć jeszcze o 24 godziny, ale jeszcze... „szkoła w spódnicach"! Próbowałem wymigać się, ale nic nie pomogło.

– Uważamy z pułkownikiem, że ty to najlepiej zrobisz!

– Jutro wydam ci szczegółowe instrukcje!

Niby z dobrą miną,... ale zły jak djabeł – wyszedłem z kasyna, – wpadam na kilku kolegów, którzy się tu kręcili, ciekawi... kto będzie instruktorem pań.

– No.o.., co tam Sławik? może wiesz kto będzie prowadził jazdę pań?

– Tak wiem!

– Kto? kto, – mów że do cholery...

– Miejscowy proboszcz!...

Rozjesmnieli się, a Lutek przyczepił się... kto, kto?
Wiedziałem, że wiadomość, którą im powiem poraził Lutka boleśnie, ale czepia się... kto, kto?

– No wiesz.... niestety... ku memu żalowi... ja!

Lutek... zastygł z otwartą buzią....

– No.o, a..a..-ja?

Byłem zły i dlatego złośliwie odpaliłem:

– Ty... bziarosz... koryparść!

Dlaczego „koryparść" – nie wiem do dnia dzisiejszego, ale wiem, że od tej pory stosunek Lutka do mnie zmienił się.....

Na drugi dzień otrzymałem szczegółowe i surowe instrukcje od pułkownika. Stałem się „car i bóg" – jazdy pań.

Dobrałem konie, wyznaczyłem czas jazdy – zaprowadziłem żelazną dyscyplinę.

Za wyjątkiem Hani Jurkowskiej (żona Leszka), która była już poważnie zaangażowana i brała parę razy udział w zawodach konnych na własnym koniu – reszta pań.... były „początkującymi pilotajami" – w tej liczbie i pułkownikowa, której bardzo przeszkadzała jej tusza,.... była korpulentna.

Zrozumiałe, że dobrałem odpowiednio spokojne konie.

Pomimo, że z nowej funkcji naprawdę byłem niezadowolniony - do pracy wziąłem się solidnie i ku zadowoleniu pułkownika, moje „damskie pilotaże" robiły postęp.

Lutek - nie mógł przeboleć swej porażki; ale zawsze przychodził na jazdę pań w charakterze kibica i „pomagiera" pani pułkownikowej. Tego oczywiście zabronić mu nie mogłem.

Gdy moje uczennice poczuły się w siodłach pewniej, zaczęły mnie „podchodzić" o lepsze konie. Specjalnie atakowała pułkownikowa.

– Panie Staneczku, innego konika dla mnie, Lutek ma u siebie w plutonie taką dobrą kobyłkę, spokojna, ale żywa i dobrze skacze...

– Na zmianę koni jeszcze wcześnie, pani Zosiu, a kobyłkę Lutka dobrze znam... jest ona spokojna... pozornie i jej pani nie przydzielę pod żadnym warunkiem!

Ja swoje, a pani Zosia - swoje.

Pewnego dnia przychodzę na lekcję jazdy pań i widzę, że obok koni grupy, na boku stoi trzy-

nana przez luzaka właśnie kobyłka z plutonu Lutka, o którą tak prosiła mnie pułkownikowa.

– Co ty robisz tu z tym koniem? zapytałem luzaka.

– Pan porucznik Turasiewicz kazał mi tego konia przyprowadzić tutaj... zdaje się, że będzie na nim jeździła pani pułkownikowa!

Aha! zaczyna się, ale ja jestem twardy. W pobliżu kręci się Lutek...

Przywitałem się z paniami, zamieniłem parę słów, – miny moich pań jakieś... zagadkowe, ale żadna parę zwrot nie ponowiła... domyślam się...

– Proszę – do koni!

Pobiegły, każda do swojego, odebrały konie od luzaków, przygotowują się do siadania. Pułkownikowa natomiast ominęła swego konia i idzie do kobyłki Lutka i również szykuje się do siadania.

Szlak mnie trafił, ale... to przecież nie rekrut... na „baczność" nie postawię.

Na „bacznoś" nic postawić, ale... na samowolę nie pozwolę... z zastajni wyglądają koledzy. W śród nich i... Lutek.

– Pani zdaje się pomyliła konia, pani Zosiu! Moment konsternacji... milczenie.

– Podaj pani pułkownikowej konia, krzyknąłem do ucznia trzymającego własnego konia pułkownikowej.

– Ja, a panie Stasiu,... będę jednak jeździła od dziś na tej kobyłce!

– W żadnym wypadku proszę pani! – proszę do swego konia!

Milczenie... ale pułkownikowa nie odchodzi od Lutkowej kobyłki,.. zaciekawione panie patrzą na mnie.

– Ja... czekam... pani Zosiu!

– A ja... jednak... będę jeździła... na tym koniu....

– Ale nie na mojej lekcji.. proszę pani!

Sprawa stanęła na ostrzu noża, trzeba działać!

– Uwaga! dzisiejsza lekcja jazdy... odwołuję – uczniowie! odprowadzić konie do stajni!

274

str. ~~500~~

Zdenerwowany, szły poszedłem do swego szwadronu.

— Dobrześ zrobił Sławek! - obstąpili mnie koledzy, — to robota Lutka!

Zapaliłem papierosy i patrzymy co będzie dalej?

- Koło pułkownikowej i konia jest już Lutek, szykuje się do podsadzenia pułkownikowej na koń... kobyłka paskudnie się kręci, szarpie się z lancą.

— Słuchaj Sławek, ten bałwan Lutek narobi pośmiechu... ani pojął....

— Jak mogę nie pozostać, takiej odmówiłem, a teraz pułkownikowa działa na własną rękę.... toż ni dziecko!

- Masz rację! - ale będzie kpina!

- A niech sobie będzie, ja swoje zdanie powiedziałem!

W tym czasie, Lutek jakoś uspokoił kobyłkę.... pułkownikowa zbiera wodze, podaje nogę, którą usłużnie chwyta Lutek i podsadza, ... kobyłka szarpnęła się znów kręcić,... ale pułkownikowa jest prze—

kłada nogę prawą przez zad konia ... i teraz...
kobyłka dotknięta nogą wsiadającej daje szczupaka do przodu, a... pułkownikowa... drugiego szczupaka, ale... na ziemię.

Nasza, obserwująca widowisko grupka w śmiech, ale... zrzedły nam miny, ... pułkownikowa ... leży, a koło niej klęczy Lutek ...

Odwróciłem się i poszedłem do domu - koledzy pomogą na miejscu wypadku.

Siedzę w domu, ... co się tam stało?

Z kuchni otwierają się drzwi, wbiega przerażony Foma...

- Coś ty zrobił z pułkownikową??
- Idź do djabła... nic nie zrobiłem!
- Jakto?... złamała sobie rękę!!!
- To szczęście, - niech podziękuje komu innemu!
- Pułkownik zły na ciebie jak cholera!
- Dlaczego na mnie? Na moich lekcjach nie się nikomu nic stało?
- Jakto?- przecież pułkownikowa...
- Foma! - jeszcze raz ci mówię, że... i t.d.

Opowiedziałem Fomie całą historię.

- Ale pułkownik... zły na ciebie!

– Zły na mnie – dopóki nie zna prawdy! – myślę, że Pani Zosia powie mu wszystko, no i.... Lutek też... !

Złamanie okazało się skomplikowane – pułkownikowa musiała jeździć do szpitala do Chełma, a potem leżała w gipsie dość długo.

Na drugi dzień po wypadku stanąłem do raportu z prośbą o zwolnienie mnie z funkcji instruktora jazdy pań.

– Dobrze, zwalniam pana, a.... jak pan mógł dopuścić do... wypadku?

– Wypadek zaistniał nie na lekcji i nie w mojej obecności – panie pułkowniku!

– Jak to?

– O tym... może powiedzieć... pani pułkownikowa!

– A. a.. ! no to dziękuję pana, może pan odejść.

Pułkownik długo dąsał się na mnie, ale do zgody... doprowadziła pani Zosia.

— " —

Szkoła podoficerska 2 P.S.K. 1932r

Siedzą: - w środku płk. Romuald Niementowski - dowódca 2 p.s.k.
W lewo od środka: - Mjr Jarosław Kaczyński - kwatermistrz, por. x. por. Wielgosz, por. Pacikiewicz, por. Stanisław Glasser. W prawo od środka: - mjr. Stanisław Gąssowski zca dcy pułku, rotm. Ł. Radziminski - dca szkolnego szwadronu, por. Filipowski - adjutant, ppor. J. Gierasieński, wachm. Kazubski.